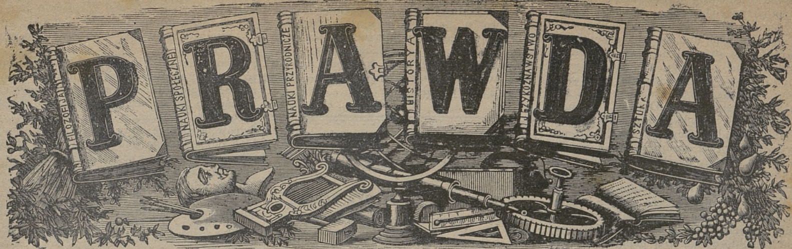
№ 47. Warszawa, dnia 20 (8) Listopada 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Numer obecny wydany i rozesłany został dnia 23 listopada.

JEDEN Z NIEWIELU.

Ostatecznie więc ustąpił z ważnego i wpływowego stanowiska człowiek, który w Galicyi był nietylko siłą pierwszorzędną, ale rzadko kojarzącą w sobie sprzeczne dążenia stronnictw. Żywioły polityczne nie odbiegają tam daleko od siebie w zasadach, ale za to głęboko zapuszczają w siebie wzajemnie zęby. Właściwie istnieje w Galicyi jedna tylko mocna i dobrze zorganizowana partya „stańczyków," której przeciwstawiają się różnego chrztu odłamy i odłamki, nieokreślone w swym charakterze, dziwaczne w swych nazwach. Przyłożywszy do siebie „ateńczyków," „podolaków," konserwatystów i liberałów, arystokratów i demokratów, dostrzeżemy, że oni mają więcej, niż po jednym boku równym i że ich cechy posiadają barwę, mieniącą się wieloma odcieniami. Ale to jest pewnem, że stale i zawzięcie z sobą walczą. Otóż dr. Zyblikiewicz, jako marszałek sejmu, umiał te waśnie łagodzić i dla wszystkich okruchów politycznej skały galicyjskiej być wiązadłem. I dla czego ustępuje? Nie z powodu choroby, która nawiedziła go po rezygnacyi, lecz z pobudek innej natury. Chociaż organ stańczyków *Czas* śpiewał z całym chórem pieśń żalu i pożegnał odchodzącego bardzo wzruszony, znaleźli się niedowiarkowie, którzy posądzili go o łzy krokodyle, a śród jego rzeszy dostrzegli przykryty smutną miną uśmiech. Według nich dr Zyblikiewicz padł ofiarą intryg stańczyków, którzy na krześle marszałkowskiem chcieli mieć kogoś z krwi i kości własnych. Jeżeli podobna intryga istniała, to ją zakopano tak głęboko, że stamtąd może być wydobyta jedynie przypuszczeniem. Zrzekamy się wszakże przypuszczeń i pozostajemy przy samym fakcie, że dr Zyblikiewicz, powszechnie lubiany, szanowany i ceniony, z przyczyn publicznie niewiadomych zrzekł się laski marszałkowskiej. Fakt ten jest bardzo zagadkowym i niewytłomaczonym dostatecznie, zachodzi więc jakaś potrzeba okrywania go tajemnicą.

Nie kusząc się o przedarcie tej zasłony, zaznaczyć winniśmy, że ustąpienie Zyblikiewicza jest dla Galicyi stratą wielką. Był on nietylko ogniskiem, zbierającem i godzącem różnorodne promienie dążeń polityczno-społecznych, ale nadto był człowiekiem czynu. W kraju marzeń bezwładnych, charakterów nieokreślonych, roszczeń nadmiernych, w Galicyi taki człowiek posiadał szczególne znaczenie. W potrzebie musiał zastąpić cały sejm, za wielu mieć wolę, rozum i energię. „Nie ma nic wstrętniejszego — powiada Goethe — niż większość: składa się ona bowiem z kilku dzielnych przodowników, z łotrów, którzy się przystosowali, ze słabych, którzy się upodobnili, i z masy, która pędzi, sama nie wiedząc, czego chce." Słowa te okazują zbyt często swą słusznosć w Galicyi, której „większość," zdeptana, ogłupiona, skrępowana przez stańczyków, albo idzie za nimi ślepo, albo zdurzona kręci się na miejscu. Nie można powiedzieć, ażeby tam nie było ludzi działających— zdobycze naczelnej „partyi" są wymownym tego dowodem — ale mało ludzi, którzy pragnieniami swemi ogarniają kraj cały. Brzmi tylko ustawiczny huk w jednej kuźni, która wyrabia oręże do walki, dla jej posiadaczów korzystnej. Inne żywioły ogarnęła niemoc. Tak zwana „tromtadracya" dużo krzyczy, deklamuje, odgraża się, ale czyny swoje w małym koszyczku nosi. W tych stosunkach Zyblikiewicz, polityk wielostronny, umysł wielościenny, niezheblowany ani fanatyzmem, ani interesami kliki, obywatel społeczeństwa a nie pachołek lub nawet komendant obozu, rozum trzeźwy i wola mocna — był jednostką niezmiernie cenną, a na stanowisku marszałka sejmu — nieocenioną.

Stanowisko to zajął po nim J. hr. Tarnowski — jakiego kroju — pytać nie potrzeba. Ani on nie dźwignie zbroi, którą poprzednik jego nosił, ani ten nie będzie długo stał na uboczu. Charaktery tego rodzaju nie spoczywają na składzie, lecz szybko wracają do pola działalności publicznej. Jesteśmy więc przekonani, że Zyblikiewicz, zrzuciwszy z siebie następstwa ciężkiej choroby, pojawi się znowu na wydatnem miejscu. Niemal powszechny żal, jaki objawił się po wiadomości o jego ustąpieniu, głośno wyrażona potrzeba zużytkowania takiej siły — wszystko zapowiada ten powrót. Naturalnie i za nim powlecze się kurz różnych, po części słusznych zarzutów, ale byłoby śmiesznością wymagać, ażeby ktokolwiek od błędów był wolnym. Popełniać je zaś może nadewszystko człowiek, który z natury własnej i z natury warunków nieraz musiał działać zbyt bezwzględnie, przeciskać się przez zawady ze swymi planami zbyt szorstko. Tego udeptał, tamtego łokciem potrącił, to uszkodził, tamto nadwyrężył — prawda, ale taka od wieków kolej ludzi energicznych, wyręczających masy swą zdolnością jednostkową.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W przebiegu zawikłań bułgarskich zbliża się obecnie chwila, która stanowić będzie o takiem lub innem ich rozwiązaniu. Naprężenia stosunków wewnę-

trznych towarzyszy wzrastające podrażnienie międzynarodowych. Wybór księcia Waldemara nie odpowiedział zamierzonemu celowi, król duński nie przyjął tego zaszczytu dla swego syna, zaznaczając dosyć wyraźnie, dlaczego to czyni obecnie. Odmowa nie jest właściwie stanowczą, nabiera ona takiego znaczenia tylko w warunkach dzisiejszych. Dlatego to może zgromadzenie narodowe nie postawiło teraz innej kandydatury, ale wysłało deputacyę do dworów europejskich z prośbą o wskazanie osoby przyszłego księcia. Nie wiadomo, co odpowiedzią mocarstwa. Rosya podobno przedstawi jako kandydata księcia Mingrelskiego. Jest to jeden z medyatyzowanych władców kaukazkich, nosi on tytuł „księcia panującego“ (władietielnyj kniaź), pobiera znaczną pensyę i służy w wojsku rosyjskiem.

Zgromadzenie narodowe, nie mogąc dokonać wyboru księcia, zapragnęło przynajmniej uprawnić rząd tymczasowy. Karawełow podał się do dymisyi, którą mu chętnie udzielono z naganą, „że jak pierwej zdradził Battenberga, tak teraz zdradza sprawę narodu.“ Na miejsce jego trzecim regentem obrany został Żiwkow, prezydent „sobranja,“ człowiek bardzo popularny, ale nieposiadający własnego zdania. Tymczasem opozycya przeciw rządowi wzrasta, Cankow prowadzi układy z Karawełowem co do wspólnego działania a wraz z nimi występuje znany w całym kraju poeta narodowy Sławejkow. Większe jeszcze niebezpieństwo przedstawia żywioł wojskowy, którego karność rozluźniła się zupełnie. Powstanie w Burgasie nie udało się, ponieważ wojsko nie przyjęło w nim udziału, jeżeli jednak podniesie ono rokosz, położenie się zmieni. Wreszcie pomiędzy ludnością wiejską, zwłaszcza w Rumelii, wzmaga się niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, większość spokojnych mieszkańców pragnie tak lub owak skończyć całą sprawę, aby tylko rujnującej kraj niepewności kres położyć. Niechęć ta nabiera szczególnego znaczenia wobec faktu, że rząd tymczasowy z obawy nie może jej objawów gwałtownie stłumić.

Ostatnie dzienniki podają wiadomość, że rząd włoski wymaga od parlamentu kredytu 200 milionów franków na przygotowania wojenne, przyczem jego dzienniki objaśniają otwarcie, że „w chwili stanowczej Włochy staną po stronie Austryi i Anglii, w obronie istniejących traktatów.“

Pomimo że kilkadziesiąt rad powiatowych w Galicyi wysłało telegramy do rządu z prośbą, żeby nie przyjął dymisyi Zyblikiewicza, cesarz mianował marszałkiem sejmu hr. Jana Tarnowskiego. Jest to nowy tryumf stańczyków, których upadek zbyt wcześnie przepowiadała lepsza część prasy galicyjskiej.

BADANIA NAUKOWE.

DZIEDZICZNOŚĆ I TEORYA DOBORU w świetle nowych badań biologicznych.

II.

Jedno zjawisko zdaje się pozornie przemawiać za udzielaniem się następnym pokoleniom cech nabytych. Mowa tu o chorobach dziedzicznych. I ten punkt jednak teorya Weissmana może zupełnie prawie odeprzeć. W większości bowiem dziedzicznych chorób wykryto bakterye, które są ich bezpośrednią przyczyną; w tych zaś wypadkach, w których obecności tych niszczycieli zdrowia jeszcze nie ujawniono, lekarz przypuszcza jednak na zasadzie wielu objawów ich istnienie. A w takim razie sposób przeniesienia się choroby będzie zupełnie widocznym: mikroby mianowicie przenikają wprost do komórek rozrodczych i naruszając budowę nasienia lub jajka, powodują następnie pojawienie się tych samych chorób u potomków. Jasnem więc jest, że zjawisko to polega nie na dziedziczności, lecz po prostu na zarażeniu zarodka.

Jeżeli tedy z Weissmanem odmówimy warunkom zewnętrznym wpływu na wytwarzanie się przymiotów dziedzicznych, to pozostanie jeszcze do rozwiązania ważne zagadnienie: skąd zatem biorą się różnice indywidualne, które, podług teoryi doboru, prowadzą do powstania nowych gatunków?

Na to pytanie odpowiada Weissman w najnowszej pracy swojej *).

Jako przyczynę kombinowania się, potęgowania i powstawania nowych dziedzicznych różnic indywidualnych, wskazuje on rozmnażanie się płciowe. Ten czynnik, na który dotychczas nie zwracano należytej uwagi, podnosi Weissman do godności pierwszorzędnej siły, dającej bardzo wielkie rezultaty w odwiecznym procesie rozwoju.

Przy rozmnażaniu się bezpłciowem (jak to widzimy u tych zwierząt, u których ma miejsce dziewiczorództwo — partenogeneza), żadne nowe cechy powstać nie mogą; potomstwo podobnem jest zawsze do rodziców, a różnice indywidualne u wszystkich późniejszych pokoleń są takie same, jakie już istniały u poprzednich (jeżeli pominiemy tego rodzaju zboczenia, jak silniejszy lub słabszy rozwój, zależny tylko od pożywienia itp. warunków). Wobec zewnętrznych stosunków i rozmaitych odmian wymierać będą naturalnie te, które do nich przystosować się nie mogą; nie będzie to jednak doborem w właściwem znaczeniu tego wyrazu, gdyż powstawanie nowych cech jest tutaj zupełnie wyłączonem. Tylko rozmnażanie się płciowe, które, jak wiadomo, zasadza się na połączeniu dwu komórek rozrodczych, nasienia i jajka (a właściwie ich jąderek), spowodować może pojawienie się nowych różnic indywidualnych. Albowiem z plazmą zarodkową tych komórek związane są pewne dążności dziedziczne, które zostają przeniesionemi na następne pokolenie, tak, że cechy drugiej generacyi będą już wynikiem, wypadkową dwu odmiennych kierunków i stanowić będą trzeci, niepodobny do żadnego z poprzednich.

Takie kombinowanie różnic indywidualnych trwa wciąż. Cechy trzeciego pokolenia będą już wynikiem współdziałania czterech, czwartego pokolenia—ośmiu kierunków itd. Nie można ściśle określić, do którego pokolenia dochodzi jeszcze wpływ każdego z przodków. Są jednak wskazówki, że niektóre rysy indywidualne w dalszej jeszcze niż w szóstej generacyi dosyć wyraźnie występują. W każdym razie wskutek płciowego rozmnażania się powstaje ogromna liczba nowych, niepowtarzających nigdy w takim samym składzie różnic indywidualnych, które, unicestwiając się nawzajem lub potęgując, prowadzić mogą do wytworzenia nowego gatunku.

Różnicę w tym względzie między rozmnażaniem się płciowem a bezpłciowem, wyjaśni bliżej następujący przykład: Pewien owad — przypuśćmy — którego istnienie zabezpieczonem jest przez tożsamość ubarwienia jego skrzydeł z kolorem roślin, służących mu do żywienia się, zmu-

*) *Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung für die Selektions-Theorie.* Jena, 1886.

Z PAMIĘTNIKA.

Na karcie 136 tego pamiętnika zapisany był następujący dyalog:

— „Nigdy nie dali mi przyjść do słowa— przez całe życie!

— Może pani za dużo mówić chciała.

— I pan żartem zamykasz mi usta — to samo wszyscy robili.

— Bo nie mogę pojąć, jakiem dziwnem sprzysiężeniem odbierali królowej głos niewolnicy. Chyba pani nad nimi nie panowała...

— Owszem, najwszechwładniej. Wielbicieli miałam tylu, ilu znajomych, a niejeden z nich za jedną moją łaskę dałby kawał swego honoru, gdybym tego żądała. Panowałam tak despotycznie, jak tylko kobieta piękna panować może.

— Więc cóż pani przeszkadzało mówić?

— Moja uroda. Słyszałeś pan o niej, ale szukając dziś potwierdzenia cudzych sądów w siwych włosach, w przygasłem oku, w pomarszczonej skórze, nie więcej znajdujesz, niż gdybyś w zwęglonych płatkach obrazu odtwarzał sobie rysy spalonego portretu. Dziś jestem po za swoją młodością i jako bezstronny jej sędzia rzec mogę: byłam bardzo piękną. Nie roześmiej się pan, bo to już nie samochwalstwo w ustach kobiety, dla której życie kwitnące jest odległym snem, a śmierć — bliską rzeczywistością. Ile razy pochlebstwa mnie odurzyły, biegłam do zwierciadła i pytałam je o szczere wyznanie: ukazywało mi postać prześlicznie rzeźbionego wykroju, głowę posągowej kształtności, twarz bez błędu, oczy tak pełne blasków, jak gdyby mocnem światłem podtrzymywać chciały niepokalaną białość moich lic i koralową barwę ust. Nie widywałam na ciele skazy, nie uczepił się go na długo żaden pryszcz. Wcześnie zwrócono mi na to wszystko uwagę, bo wcześnie zaczęła się moja niedola.

— O ile słyszałem, żyła pani zawsze w dostatku.

— Pan mnie jeszcze nie rozumiesz. Do dziesiątego roku nie umiałam czytać, a wiedzą niewiele przewyższałam ptaka, którego natura ustroiła w piękne pióra. Uświadamiano tylko i chwalono moją urodę. Raz zagadnęłam pewnego staruszka, czy to prawda, że ziemia okrągła — przysunął mnie i ucałował; innym razem prosiłam młodego kuzyna matki o wyjaśnienie, czy istnieją czapki niewidymki i stumilowe buty — podniósł mnie i wycałował. I zawsze, czy do kogoś przemówiłam, czy przybiegłam, wszyscy chwytali mnie i całowali — całowali mężczyzni i kobiety, starzy i młodzi, przyjemni i obrzydliwi, ach, czasem tak obrzydliwi, że aż dotknięcie ich ust zmywałam i ścierałam.

— Dotąd jeszcze nie widzę niedoli.

— I ja jej nie widziałam, bo poznałam ją znacznie później. Nie pamiętam już, jak mnie nauczono czytać, pisać i nieco myśleć. Nareszcie ojciec dał mi guwernera przychodniego i guwernantkę stałą. Miałam wówczas lat czternaście. Podczas jednej lekcyi, gdy skończyłam opowiadać po francuzku myt o Herkulesie, nauczyciel mój, szczególnie zarumieniony, utkwił we mnie wzrok gorączkowy. Czy się pomyliłam? — pytam. On milczy. Powtarzam pytanie — on dalej milczy i patrzy tak strasznie, że drżąc z obawy wyjąkałam: co panu jest? Nagłym ruchem porwał mnie w swoje objęcia i pocałował. Krzyknęłam przeraźliwie — z sąsiedniego pokoju wbiegł ojciec. Guwerner poprosił mnie, ażebym wyszła. Za drzwiami usłyszałam podniesiony głos ojca, a wkrótce potem wybiegł francuz, który już nigdy nie wrócił. Ukształcenia mojego dokończyła guwernantka, która pożegnała mnie

szony jest żyć w innych warunkach. Nie jest on już tutaj tak dobrze przystosowanym, gdyż barwa roślin różni się cokolwiek od jego własnej. Gdyby te owady rozmnażały się wyłącznie przez partenogenezę, posiadałyby one tylko takie ubarwienie, jakie już poprzednie pokolenia miały. Jeżeli który z drobnych odcieni tego koloru odpowiada nowym warunkom, w takim razie dany osobnik pozostanie przy życiu, wszystkie zaś inne wyginą.

Ale zjawisko to nie będzie wcale doborem. Możnaby je nazwać tylko „wyborem.“ Taką drogą nie może powstać nigdy nowy gatunek, gdyż w obrębie jednego gatunku różnice indywidualne nie mogą być tak wielkie, jak między osobnikami z dwu chociażby najbliżej pokrewnych. Gdyby przy doborze naturalnym nie zachodziło potęgowanie się niektórych szczególnych cech i gdyby nie uwidoczniało się przy tym procesie pewne dążenie ku zamierzonemu celowi, to teorya nie tłomaczyłaby rozwoju organizmów. Ale wskutek stosunków płciowych działanie doboru jest daleko szersze, a następstwa jego bardziej obfite i ważne. W przytoczonym np. wypadku spowoduje on zachowanie nietylko owadów z ubarwieniem zupełnie identycznem, lecz i z najbliższymi odcieniami koloru danych roślin. Dzięki płciowemu rozmnażaniu się, owady będą w stanie powoli naginać się do nowych warunków i zbliżać się do zupełnego zadośćuczynienia im.

Weissman przypisuje tedy płciowemu rozmnażaniu się nową a olbrzymiego znaczenia rolę w powstaniu świata organicznego: uważa on je za źródło, z którego wszystkie prawie istoty czerpią rozmaitość form, cech i rysów dziedzicznych, a tem samem za jedną z głównych podwalin rozwoju.

Pozostaje jeszcze do wytłomaczenia, skąd te indywidualne różnice, utrwalone tak i potęgowane później przez stosunki płciowe, pierwotnie się wzięły i do wskazania, jakie były poprzednie stadya płciowego rozmnażania się?

Wyjaśnienie tych zagadnień jest w dziełku Weissmana naszkicowanem, w głównych rysach przynajmniej.

Rozmaitość cech indywidualnych organizmów wyższych wywodzi się jeszcze od pierwotniaków i przyczyny jej, zdaniem Weissmana, u tych najniższych stworzeń szukać należy. Jak wiadomo, funkcye rozrodcze, jak i wszystkie inne u tych istot, pełni cały organizm, a nie szczególne jego części. Podczas więc gdy warunki zewnętrzne dla wyższych indywiduów powodują tylko zmiany przejściowe, a na plazmę zarodkową i przyszłe pokolenia w takim tylko razie wpływ jakiś mają, jeśli przez długi czas ustawicznie na nią oddziaływały, to u jednokomórkowych mogą one bardzo łatwo wywołać różne cechy dziedziczne. U nich albowiem otoczenie jest w stanie wprost zaprowadzić zmiany w układzie cząsteczkowym protoplazmy. Ponieważ zaś żyjątka te rozmnażają się przez dzielenie i potomek tutaj jest po prostu częścią organizmu rodzicielskiego, powstałe więc raz różnice indywidualne udzielają się następnym pokoleniom. Z pojawieniem się organizmów wyższych te nabyte, ale dziedziczne cechy, nie giną, lecz utrwalają się i dzięki stosunkom płciowym, przez wzajemne kombinowanie się, dają początek innym, nowym rysom dziedzicznym.

U jednokomórkowych zauważono akt, poprzedzający zwykle dzielenie się, a polegający na tem, że dwa zupełnie zresztą (o ile dzisiejsze środki badania poznać dozwalają), jednakowe organizmy łączą się, zlewają w jeden i wspólnie podlegają dzieleniu się. Nazywa się to kopulacyą albo konjugacyą. Rozmaicie starali się biologowie tłomaczyć to zjawisko, które najwidoczniej jest formą przejściową do płciowego rozmnażania się. Bütschli, Hensen i inni uważali je za pewien rodzaj odmłodzenia, odświeżenia sił żywotnych, wyczerpanych przez rozmnażanie się bezpłciowe. Rolph i Cienkowski znów widzieli w niem przyspieszony tylko i odmienny od zwykłego sposób odżywiania się organizmu. Pierwszy jednak z tych poglądów grzeszy mglistym i niejasnym charakterem, drugi zaś wtedy mógłby być uważanym za słuszny, gdyby jedno z wstępujących w kopulacyę żyjątek ginęło, a drugie substancyę jego w właściwy sposób przerabiało i asymilowało. Ale taki proces tutaj wcale nie zachodzi. Weissman więc stawia inne przypuszczenie. Sądzi on, że kopulacya jest wzmocnieniem sił organizmu wtedy, kiedy ten ostatni wskutek wyjątkowych warunków zewnętrznych (niedostatecznej ilości pożywienia, światła, ciepła itd.) nie może się dostatecznie rozwinąć i rozrosnąć. Wówczas, wskutek połączenia się dwu ciał i ogółu związanych z niemi sił, staje się możliwem wypełnienie tych funkcyj, które u pojedynczego osobnika w tych samych warunkach występować by nie mogły.

Już u wyższych wymoczków złączenie się organizmów przy kopulacyi nie jest stałem, jak to bywa u niższych pierwotniaków, lecz czasowem. Tutaj więc cały przebieg procesu konjugacyi bardziej jeszcze zbliżonym jest do aktu spółkowania, w który następnie przechodzi u organizmów wyższych. Ponieważ zaś stosunki płciowe nadają zwierzętom, u których istnieją, możność przystosowania się do zewnętrznych warunków i wskutek tego zapewniają im przewagę nad innemi, przeto stały się one tak powszechnymi w całym świecie organicznym.

Bezpłciowe rozmnażanie się w formie np. partenogenezy napotykamy tylko sporadycznie i tylko w wyjątkowych warunkach. W dużej liczbie wypadków istnienie dziewiczorodztwa tłomaczy się jako reakcya przeciwko silnym a nieprzyjaznym wpływom zewnętrznym, dążącym do zagłady danego gatunku. W celach zachowania swego bytu pożytecznem jest wówczas dla takich zwierząt, jeśli wszystkie ich osobniki składać mogą jajka i przez wydanie możebnie największej liczby potomstwa zabezpieczyć istnienie swego gatunku.

Ponieważ dziedzina ta mało wogóle jest jeszcze znaną, nie wiadomo więc, czy spostrzeżenie to jest prawdziwem względem całego obszaru dziewiczorodztwa. Jeżeli jednak potwierdzą je późniejsze obserwacye, będzie ono argumentem, silnie przemawiającym za poglądami Weissmana. Albowiem, jeśli odwrócimy zasadę jego, że nowe cechy wyrabiają się tylko przy płciowem rozmnażaniu się, to konsekwentnym jej wynikiem będzie twierdzenie, że przy bezpłciowem żaden organ, jakkolwiek nieużywany, nie może się stać szczątkowym.

Wogóle zaś wartość poglądów Weissmana w prawdziwem świetle ukaże się dopiero pod probierzem ścisłej krytyki i w zestawieniu z najbliższemi w przyszłości badaniami. Zdaje się jednak, że ostoją się one zwycięzko wobec późniejszych dociekań i liczyć się z niemi będą musieli ci, co kiedyś sprawą dziedziczności zająć się zechcą. Praca Weissmana stanowić zarazem może ważny przyczynek do nauki Darwina, jako uzupełnienie tej wspaniałej teoryi, która dziś jest podstawą całej biologii.

Poglądem swoim co do znaczenia płciowego rozmnażania się, Weissman, niegdyś przeciwnik Darwina, przyłożył teraz cegiełkę do wykończenia wielkiego gmachu

---

zapewnieniem, że więcej umiem, niż kobiecie tak pięknej potrzeba. Czułam w tych słowach nieprawdę, ale szybko zapominałam o niej, bo prąd wesołego życia zaraz mnie uniósł. W domu naszym zaczęło się odbywać formalne nabożeństwo: tłum kornych wielbicieli klęczał przede mną, modlił się, palił kadzidła i składał ofiary. Doznawałam wrażeń statuy na ołtarzu, która, przyjmując hołdy, nie zastanawia się nad sobą. Teraz po długiem doświadczeniu widzę, że tylko nieszczęśliwi rozróżniają ludzi według najdrobniejszych odcieni ich wartości, szczęśliwi natomiast nie podejmują tego trudu. Dla mnie wszyscy mężczyźni zlewali się w kilka zaledwie odmian: jeden był od drugiego starszy, przystojniejszy, bogatszy, ale wszyscy byli do siebie podobni, bo wszyscy powtarzali mi te same pochlebstwa, wyrażali te same uczucia i gotowość do tych samych usług. Nie zastanawiałam się wcale nad różnicami w ich charakterze, rozumie i uzdolnieniach, żaden nie dopuścił nawet do badania się w tym względzie. Gdy nieraz próbowałam zwrócić rozmowę w kierunku poważniejszym, wplatali w nią złote nici uwielbienia lub ucinali zachwytem nad moimi wdziękami. To też jakkolwiek paru darzyłam większą, niż innych, sympatyą, było mi dość obojętnem, którego z nich ojciec dla mnie wybierze. Zwyciężył zamożny i elegancki przemysłowiec, którego żoną zostałam bez miłości, ale bez wstrętu.

— Nikogo pani nie kochała?

— Nikogo. Trzeba być kobietą piękną i tak wychowaną, ażeby pojąć tego rodzaju paraliż serca. Istnieją osobne zakłady dla kalek, idyotów, ślepych, głuchoniemych, wierz mi pan, że równie użyteczną byłaby odrębna szkoła dla pięknych kobiet, o której dotąd nie pomyślano. Bo to są także istoty nienormalne, wyjątkowe, psute i unieszczęśliwiane w warunkach zwykłych. Nadmiernie rozwinięty przymiot tak samo narusza równowagę życia, jak wada; geniusz jest niesprawiedliwością natury, jak idyotyzm, a piękność— jak brzydota. Jeżeli tak szczególnej opieki ze strony społeczeństwa doznają upośledzeni, czemuż nie mają do niej prawa obdarowani?

— Takiego przywileju pięknym kobietom odmówiłbym w imię publicznego... bezpieczeństwa.

— Zapewne, urocza gęś mniej groźna od orlicy, ależ i wielki rozum, talent jest także burzycielem spokoju.

— Radbym wszakże usłyszeć, kiedy się zaczęło nieszczęście pani.

— W małżeństwie. Przeszłam na własność człowieka, który dalej modlił się do mnie, ale jednostkowe modły już nie mogły zadowolić mnie, przywykłej do bałwochwalstwa licznej rzeszy. To solo uwielbień było nudnem, zwłaszcza że nie odbijało się w mojem sercu echem miłości. Nadto mąż, prócz objaśnień o swoich interesach, niczem więcej duszy mojej nie karmił. Często pozostawiana w samotności, zaczęłam czytać i rozmyślać. Wtedy przekonałam się, że w atmosferze moralnej ogółu istnieje wiele uczuć, któremi nigdy nie oddychałam, że w świetle umysłowem drga dużo prawd, których promienie nie przeniknęły do mojego mózgu. Opanował mnie smutek i gniew: żałowałam nieświadomie straconych lat młodych i buntowałam się przeciwko tej kolei, po której przejść miałam z resztą życia. Nie wyrażę panu dostatecznie obrzydzenia, jakie mnie ogarnęło, gdy w kilka dni potem na balu jeden z dawnych wielbicieli ponowił mi swoje hołdy. Zatrzęsłam się zgrozą.

— Jakże mąż pani wyszedł na tej przemianie?

— Z początku wcale jej nie dostrzegł, później zauważył, że utraciłam wesołość i podwoił zabiegi w dogadzaniu najkapryśniejszym moim żądaniom, wreszcie oswoił się ze złym humorem.

jego nauki. Kiedy często jeszcze wśród ogółu naszego słyszeć można słowa potępienia dla tego męża, od którego imię swoje w historyi wiek nasz nosić będzie, nie zbytecznem będzie raz jeszcze zaznaczyć, że myśli, które on rzucił, rozwijają się i stwierdzają z bezprzykładnem w dziejach cywilizacyi powodzeniem na całym obszarze wiedzy.

W szczególności zaś wszystkie nowsze badania biologiczne są dla teoryi rozwoju jednym ciągłym tryumfem, a do podniesienia jego świetności przyczyniają się zarówno stali rzecznicy, jak i ci, co skutkiem rozmaitych wątpliwości naukowych przeciw darwinizmowi występują. Tacy przeciwnicy, jak niegdyś Agassiz, lub teraz Nägeli (a zasługują oni o tyle na prawdziwe uznanie, o ile krzykacze w imię tradycyi na szczerą wzgardę), acz pośrednio, niemało położyli zasług w wyświetleniu i ugruntowaniu teoryi Darwina. Dziś już nie waha się poważny uczony niemiecki *) wygłosić takiego np. zdania: „to, że dzisiejsze gatunki powstały z innych, teraz po większej części wymarłych, że powstały one nie samodzielnie, lecz drogą rozwoju z niższych i że taki rozwój szedł od prostego do bardziej złożonego, możemy z taką samą stanowczością powiedzieć, z jaką astronomowie twierdzą, że ziemia obraca się około słońca."

Trzeba jeszcze dodać, że dzięki tym poglądom biologia święciła niedawno tryumf, jakim dotychczas śród wszystkich nauk tylko astronomia poszczycić się mogła. Jak niegdyś odszukano planetę Neptun w określonem poprzednio na stropie niebieskim miejscu, tak teraz na zasadzie teoryi rozwoju z góry przepowiedziano, że embryon ludzki zamiast 12, mieć musi 13 lub 14 żeber i że wśród kostek dłoni w najwcześniejszej epoce życia człowieczego winny się znajdować szczątki jeszcze jednej, ośrodkowej (*os centrale*), którą kiedyś w zamierzchłej przeszłości przodkowie jego w dojrzałym wieku posiadali: obie przepowiednie najzupełniej się ziściły. Za odkrycia te należy się hołd pamięci Darwina. Niech więc imię jego pochwalonem będzie na wieki wieków.

Mieczysław Kaufman.

*) Weissman: *Bedeutung der sexuellen Fortpflanzungen*, str. 2.

TEORYA CEZARA LOMBROSO.

III.

Dawid Lazzaretti (prorok i nowator społeczny).

Przystępujemy do scharakteryzowania jednego z typów, prących ludzkość naprzód, mianowicie do postaci proroka-reformatora. Jako przykład posłuży nam włoch, Dawid Lazaretti.

Urodził się w 1834 r. z ojca woźnicy, pijaka, lecz silnej budowy; w rodzinie wielu samobójców i waryatów; jeden z sześciu braci zmarł w obłąkaniu religijnem, mniemając, że jest bogiem; inni odznaczali się dobrem zdrowiem, piękną postawą, wielkiemi zdolnościami, zwłaszcza w zakresie pamięci. Dawid nie odrodził się od swego gniazda ani pod względem fizycznym, ani też umysłowym. Już za młodu wykazywał skłonności do wybryków; prowadził życie włóczęgowskie, dużo pił, wiele czytał, łatwo rozpalał się i unosił w rozmowie, przy czytaniu utworów poetyckich, pod działaniem idej wzniosłych, zwłaszcza natury społecznej. W wieku lat 14 miewał halucynacye religijne, a jednocześnie kochał się zapamiętale w żydówce, fanatyczce Starego Zakonu. Później nie odznaczał się poważaniem dla obrzędów religijnych, klął i złorzeczył, tak że z bluźnierstw swych słynął na całą okolicę. W 1859 r. (lat 25) wstąpił jako ochotnik do wojska, pisał ody i hymny patryotyczne, pełne siły i piękności, grubiaństwa i błędów gramatycznych. Niebawem znów widzimy go jako furmana w miasteczku rodzinnem, prowadzi życie rozwiązłe i pisze piosnki miłosno-lubieżne. Pod wpływem wydarzeń politycznych 1866 r. wraca do halucynacyj religijnych. „Madonna rozkazuje mu we śnie zamieszkać w pustelni." Tam, w samotności i na pokucie, czyta ojców kościoła i miewa widzenia; w jednem z nich św. Piotr miał mu wyryć jako pomazańcowi bożemu głębobie znaki na czole, przypominające tatuowanie. Zmienił się do niepoznania: z hulaki, bluźniercy, wszetecznika, stał się spokojnym i łagodnym, żył wodą, chlebem i jarzynami. Powoli dźwiga się postać, przypominająca w swem objęciu pierwszych pustelników chrześciańskich. Więc rozchodzi się o nim sława po całej sąsiedniej okolicy, tembardziej, że był jeszcze w nader świeżej pamięci dawny tryb życia jego. Poczynają nań spoglądać jako na męża świętego.

Po czasie niejakim do ascetyzmu dołącza się chęć reformowania świata. Bóg wskazuje mu we śnie udać się do Piusa IX i wejść z nim w układy co do zjednoczenia Włoch, ale posłannictwo spełzło oczywiście na niczem; co więcej, odprawiono go z uśmiechem politowania. Inaczej jednak od stolicy apostolskiej spoglądały na Dawida tłumy wiejskie, wierzące, że spełnia to poselstwo na wyraźny rozkaz niebios. Jakoż powracającego proroka witają liczne procesye, na czele których idą prostoduszni plebani wiejscy, niewahający się całować go w twarz, a nawet w nogi i ręce. Nowy zesłaniec boży poleca budowę „swego" kościoła. Składka postępuje zwolna, gdyż górale, stanowiący najważniejszy procent czcicieli Dawida, nie są zamożni; lecz w zamian zbierają się tysiączne tłumy kobiet, dzieci i mężczyzn, które znoszą kamienie, zwożą piasek i budują mury. Przy takiej pomocy kościół stanął w 1870 r. Tymczasem Lazaretti udaje się do samotni jednej na pewnej wysepce; stąd pisze posłania, proroctwa, opowiada o swych widzeniach i daje początek stowarzyszeniu „Rodzina chrześciańska," mającemu ponieść odrodzenie człowieczeństwu całemu. W 1873 r. „z rozkazu boskiego" przebiega Turyn, Medyolan, Rzym, Neapol, wszędzie każąc i obwieszczając, że wkrótce wybije „godzina." Z powodu swych kazań na publicznych placach i drogach, staje przed sądem, oskarżony o podżeganie do wojny domowej. Został osądzony, poczem dla uniknięcia dalszych zatargów z władzą, wyjeżdża do południowej Francyi, gdzie żarliwi ultramontanie witają go, jako nowego męczennika. Pisze tam dzieło: "Moja rozmowa z bogiem, czyli książka o 7 pieczęciach"— naśladownictwo genezy i apokalipsy, chaotyczne i pełne cudactw. Autor, czyli "wielki monarcha" — jak sam siebie nazywa — zaprasza tu wszystkich książąt chrześciańskich do sojuszu z sobą. Stolica apostolska go potępia, wtedy prawowierny dotychczas Dawid cisnął jej w oczy pamflet: „Bałwochwalstwo papieskie"; między innemi dowodzi tu, że rzeczpospolita jest to urzeczywistnienie idei boskiej. Obdarzony pieniędzmi przez jednego z dostojników administracyi Francyi, który przekłada jego twory na język francuski, wraca do swej pustelni, zakupuje grunta otaczające nowo-wzniesioną świątynię, stawia „świętą arkę nowego przymierza ludów" i obwieszcza

---

— Nie mogła go pani pokochać?

— Nie, pomimo że był człowiekiem najlepszych chęci i najłagodniejszej uległości. Niewątpliwie uszczęśliwiłby każdą kobietę z umysłem nieprzebudzonym, ale nie umiał uspokoić wzburzonej, która nagle zerwała się ze snu i zapragnęła gwałtownych uniesień. Cierpiąc sama, współczułam jego krzywdę, jaką mu mimowolnie wyrządzałam. Bo ostatecznie cóż on był winien? Miał względem mnie tylko dobre zamiary.

— Dla czego pani jednakże nie przeciągnęła dalej swojego snu? Właściwie, prócz nazwiska, mieszkania i najbliższej zależności, warunki życia pani nie zmieniły się, a nawet przyrosła w nich nieco swoboda. Mężatka nie zeskakuje ze szczudeł, na których musiała chodzić jako panna, rozluźnia sznurówkę konwenansu, skraca sobie maskę obłudy, przestaje mówić kącikiem ust, przybierać uciążliwe pozy towarzyskie — słowem, używa większej wygody.

— Tak, ale to usamowolnienie obejmuje również jej myśli. Gdy pierwsze wrażenia nowego stanu uschną, jak kwiaty weselne, zaczyna ona dumać. Kobieta ślubem małżeńskim zamyka pierwszy tom swego życia, a skończywszy go, zastanawia się i przegląda w pamięci wypadki minione. Ze wspomnień wysnuwa wnioski i wróżby dla tomu drugiego, który musi być trzeźwiejszym. Od tej chwili rozumie, a jeżeli jak ja, często przebywa samotną, nie ma dzieci, a z natury posiada umysł ruchliwy — rozumie dużo i po wielu manowcach dochodzi zawsze do jednego przekonania, że jest nieszczęśliwą. Na dnie każdej rozkoszy znajduje gorzką kroplę, rozczarowywa się z okrucieństwem, zrzuca ze swej duszy wszelkie złudzenia, ściera z przedmiotów dawnej swej sympatyi barwy jasne i nakłada ciemne. Staje się równie zapamiętałą pesymistką, jak przedtem była optymistką. Rzeczywistość nie dogadza jej niczem, bezwładność umysłowa nie pozwala osiągnąć niczego. A przytem ciągle pragnie.

— Czegoś pani pragnęła?

— Nie wiedziałam dokładnie, chęci moje rozpływały się w nieokreślonym niepokoju. Z tego tylko zdawałam sobie sprawę ściśle, że większą część drogi życia przeszłam z zamkniętemi oczami, że odrazu przeprowadzono mnie z dzieciństwa na próg starości, że w piersi mojej zrodził się nagle rój uczuć i myśli bezskrzydłych, uwięzionych, które już nigdy nie wybiegną ze swej klatki, że mnie zgubiła mąż piękność. Gdy mąż umarł, gdy pozostałam zupełnie samą, uwolnioną od obowiązków, rój ten obsiadł mi mózg i serce, zaczął je gryźć, brzęczeć, szemrać, zdawało mi się, że robaki toczą moje niegdyś piękne a teraz gnijące ciało. Owionęła mnie wreszcie chłodnym oddechem starość: krew oziębła, tętna jej zwolniały, nie gotuje się w mojej duszy war gorących a stłumionych pragnień, lecz ona jeszcze całkiem nie wystygła i od czasu do czasu się rozgrzewa. Ach, panie, samym domysłem nie odgadniesz, co to za męczarnia być rośliną kwitnącą w porze zimowej, drzewem, którego piękna kora opadła a gałązki pokryły się spóźnionymi liśćmi, ginącymi w mroźnym szronie, kobietą, która straciła urocze ciało wtedy, kiedy jej duch zakwitł. Czy dla takiej boleści nie masz pan nic więcej prócz szyderstwa?

— Nie przeczę, że tkwi w niej dramat, ale jeżeli połowę życia wypełnia jakiekolwiek szczęście, to dla człowieka dosyć. Pani wymagała od losu za wiele, ażeby oba tomy napisał wesoło. Byłaby to powieść „nie-ludzka."

W. Okoński.

że niebawem nastąpi wszechświatowy przewrót społeczny i przywołuje ludzkość do pokuty (wstrzemięźliwość w pokarmie i obcowaniu płciowem). Siebie samego nazywa nowym Chrystusem, zbiera daninę, którą składa do skarbca, a swym wyznawcom poleca modlić się nago. Przygotowywa wielki sztandar ze smokami i potworami widzianymi w halucynacyach, z godłami, wykazującemi Chrystusowe posłannictwo jego oraz wyśnione pochodzenie od cesarza Konstantyna W. Głosi o rychłem nastąpieniu „godziny," o ogólno-ludzkiej rzeczpospolitej.

Wreszcie następuje dawno obiecywana chwila. W sierpniu 1878 r. dokoła pustelni było liczne zbiegowisko pobożnych. Dawid rozdziela ich na grupy, nakazuje powszechny post i spowiedź; w dniu oznaczonym wywiesza sztandar swój i banderę z napisem: „Rzeczpospolita to królestwo boże" i w imię boga, którego ogłasza się synem, prorokiem i namiestnikiem, obwieszcza wojnę powszechną przeciwko tyranom. Od „rycerstwa ligi chrześciańskiej" przyjmuje przysięgę na wierność. Ukazuje się tłumom w purpurze, przeszywanej złotem, z tyarą na głowie, z pastorałem w ręku; jego świta odzianą była niemniej suto i po cudacku. Wreszcie armia chrześciańska ruszyła w pochód — na zdobycie świata; przodem szedł nowy Chrystus, ukazujący na niebo, gdzie według słów jego miały się unosić zastępy sojuszników nadziemskich. Armia postępowała z hymnami na ustach. Atoli w pochodzie tym ręka jednego z wiernych ugodziła śmiertelnie sztyletem Dawida; skonał on z okrzykiem: zwycięztwo należy do was!

Że Lazzaretti był obłąkańcem, tego dowodzą, prócz dziedzicznego waryactwa w rodzinie, jeszcze fakty następujące. Miewał on niezwykle silne halucynacye wzrokowe i słuchowe. Oto jak opisuje jedną: „Niby słup z błyskawic uderzał po mej twarzy... wśród grzmotu i huku tysiące głosów wołało ku mnie: panuj! panuj! panuj! Okrom tego nic nie słyszałem. I dał się słyszeć przeraźliwy głos boga..." Zachwyty trwały czasami po kilka tygodni. Do przywidzeń dołączyć wypada pożerającą manię wielkości. Jak wiemy, Dawid uważał się za Chrystusa, wybrał również 12 apostołów, miał także swego św. Piotra, odbywał post, zgromadzał uczniów przy wieczerzy, na której stworzył sakrament powszechnej spowiedzi; głosił, że jest potomkiem cesarza Konstantyna; zamyślał o zwierzchnictwie nad światem całym; mówił o sobie jako o królu nad królami. W całem postępowaniu zdradzał, że tak rzekniemy, delirium ambicyi; rzuca na wsze strony projekty reform waryackich (modlenie się nago); francuzom doradza zburzyć posąg Voltaire'a oraz dzieła jego i wystawić natomiast statuę Chrystusa, miażdżącego pod nogami swemi dyabła, któryby posiadał oblicze rzeczonego filozofa. Jedynie szaleństwem można wyjaśnić to raptowne i stanowcze zrywanie z ludźmi, których czcił, jeżeli ci wystąpili przeciwko niemu. Kiedy rząd włoski skazał go, pisze do króla: „Twój dwór to nowy Babilon, a kodeksy twe i biura, to stek herezyi i głupoty." Książki jego zdradzają na każdym kroku umysł bałamutny: za kilkoma stronicami pięknemi następuje chaos z frazesów, okrzyków, obłąkania, sprzeczności, z których czytelnik nadaremnie szukałby wybrnięcia. Z tem zespala się mania używania dziwacznych tytułów i przenośni, powtarzanie ulubionych zwrotów i cyfr lub znaków. Zresztą i to, że woźnica zamiast objeżdżania koni, występuje w roli proroka i nowatora, już to każe spoglądać z niedowierzaniem na głowę Dawida. Przytem posiadał zręczność i wynalazczość wszystkich szaleńców w dojściu do urzeczywistnienia swej idei.

Takim był ten nowy prorok, którego mrzonkom nie pozwolono się było ziścić. Rzucał się śmiało przeciw stosunkom istniejącym, zdążał ku nieznanym a nowym, bo obłąkanie zwolniło go od zwykłej zachowawczości normalnego człowieka. Dawid, jak rzekliśmy, nie stanowi jakiegoś unikatu w dziejach, gdyż pokrewnych mu duchów naliczyć możnaby krocie; dla przykładu wskażemy chociażby na Lojolę, Lutra, a zwłaszcza Savanarollę, będącego niemal stereotypową podobizną naszego szaleńca.

A teraz, kiedy już znamy jedną ze sprężyn postępu i nowości, wartoby przypatrzeć się czynnikom, sprawiającym, że za opętańcem tłoczą się tłuszcze prozelitów. Jakim sposobem taki Lazzaretti zdołał omamić całe ciżby, że uwierzyły weń jako w pomazańca i proroka i gotowe były na skinienie jego ruszyć do boju z uzbrojonem żołdactwem, w ufności, że armie anielskie odchylać będą kule i bagnety wrogów i wywalczać zwycięstwo? Skąd ów wpływ na nieokrzesane i zmysłowe chłopstwo, na głos „proroka" porzucające łoże małżeńskie, poszczące a marzące o walce przeciw wszystkim potęgom i świeckim i kościelnym? Zresztą zapał wieśniaków nie tyle jeszcze zadziwia. Ale skądże urok taki ogarnia księży i to nietylko prostaczków, bo i prałaci i biskupi, nawet zagraniczni, spieszą pozdrowić szaleńca? Damy ze sfer wyższych, przebrane z chłopska, wsłuchują się w obłąkane mowy i wielbią „świętego męża," wysoki urzędnik francuski, rojalista do szpiku kości, daje ogromne sumy marzycielowi, obiecującemu powszechną rzeczpospolitę i tłomaczy halucynacye jego na swój ojczysty język a wraz z chłopstwem dźwiga go na swych barkach. Skądże taka siła u szaleńców, taki wpływ na tłumy z natury zachowawcze, na ludzi niby wykształconych?

Kiedy przerzucamy kartki dziejów, pytanie powyższe nie zstępuje z ust naszych. Waryactwo dla medyka to tylko choroba, ale dla dziejopisarza i socyologa coś więcej. Wszędzie widzimy szaleńców pojedynczych, wiodących hufiec prozelitów lub szerzących obłąkanie masowe. Obłąkaniec jeden, wierzący, że jest synem boga, głosi, że ludzie żyć winni w małżeństwie zbiorowem i chodzić nago, i oto dokoła niego zbiera się sekta adamitów, spełniająca przykazania mistrza. Wskrześmy w pamięci oblicza anababtystów z czasów Reformacyi, pierwszych kalwinistów, Piotra z Amiens, kaznodziei z krucyaty dzieci; wszystko to sobowtóry Dawida — z tą różnicą, że dopięli swego, czego ten nie uczynił. Dokoła każdego z tych obłąkańców wrze waryactwo zbiorowe, męczy dzikiemi pożądaniami i jak zaraza ogarnia widzów: i starca i ledwo od ziemi odrosłe niemowlę, i wierzącego i sceptyka, i szerzy się dalej w cudackich wyjawach. Oto masowa demonomania średniowieczna: tłumom się zdaje, że w nie wstąpił bies. Czego tu nie spotkamy? Zaraza ta, w połączeniu z nymfomanią, spazmami, konwulsyami, jak iskra przerzuca się po przez całe tłuszcze, to przechwalające się z swego opętania, to z bólem skarżące się na nie. Halucynacye stają się powszechnemi, opętani wierzą, że obcują płciowo z duchami podziemnymi, z bestyami ewangelicznemi; poczyna wrzeć w nich nienawiść ku relikwiom, hostyom; siły muskularne potężnieją; przebudzają się zdolności dziwne, zwłaszcza pamięć, tak, że poczynają mówić zaledwie raz słyszane dźwięki; ludzie dochodzą do zachwytów i wybuchów miłosnych, do anestezyi częściowej, do żądzy krwi cudzej lub własnej. A wszystko odbywa się w przeświadczeniu głębokiem o prawdziwości urojeń. Wieki średnie oglądały mnóstwo takich epidemij. Opowiem choćby o jednej.

W Akwisgranie 1374 epileptycy i trędowaci udzielili prostytutkom, a następnie kobietom ciężarnym i niedołężniałym starcom manię tańczenia na placach publicznych z okrzykami: „here S. Johann, so so vrisch und vord!" Ku temu przyłączyły się halucynacye święte, w których oglądali rozwarte niebiosa, a w nich zastępy święte, i antypatya jakaś dziwna ku barwie czerwonej i ostrym formom. Mania przerzuciła się do Kolonii (dotknęła 500 ludzi), Metzu (1,500 ludzi), Strasburga itd., przybierając postać peryodycznej zarazy w dzień Wita. Podczas takich zaraz psychicznych wybijają się liczne a niezwykłe zdolności. Savanarola np. pociągnął za sobą prostaczków, którzy przeistoczyli się w niepospolitych kaznodziei i długo po nim słynęli jako prorocy. Epidemię taką oglądaliśmy w 1842 w Skandynawii (tak zwana „Magdkrankheit"). Z pomiędzy pomywaczek i pokojowek masami wychodziły prorokinie i mówczynie; jedna dzieweczka 4-letnia kazała: „Bóg z nieba używa grzesznikòw ku pokucie; idźcie na Golgotę, tam na was czekają szaty godowe!"

Wpływ taki obłąkania na masy nie jest właściwością jedynie ucywilizowanej Europy; w Indyach przedgangesowych bramini zasięgają rady u waryatów; u hebrajczyków to samo słowo oznacza proroka i waryata; murzyni w obłąkaniu widzą wcielenie bóstwa, peruwiańczycy w pocecie swych proroków liczyli wielu epileptyków. Same powody takiego oddziaływania ze strony obłąkańców są następujące. Tłumy, przyzwyczajone do niewielu wrażeń, nie mogą znieść nowych, żeby nie uczuć pewnego podziwu, a tem bardziej niezwykłych, żeby nie oglądać w nich wcielenia potęg nadludzkich. Wszak „El" tj. boski, w chaldejskim języku znaczy jeszcze: wielki, światły, nowy, silny człowiek, góra wyniosła, zwierzę dzikie. I jakże prostaczkom nie ma się poplątać w umyśle, skoro widzą, jak w ich oczach twarz obłąkańca, jego głos i ruchy zmieniają się do niepoznania, i dziwne a wymownie kreślone obrazy wydobywają się z ust jego? Wszak i my, mimo całej wiedzy naszej, jesteśmy jeszcze dalecy od uchwycenia istoty tych przebiegów psychicznych. Waryaci są obdarzeni niepospolitą siłą muskularną, a tłum uwielbia siłę; wykazują zadziwiającą wytrzymałość na upały i ogień, rany i głód — nasz Dawid spożywał czasami zaledwie dwa kartofle na dzień. Szaleńcy, opętani manią wielkości, głoszą, że pochodzą od bogiń i królów; to również skłania tłuszcze do posłuszeństwa. Dodajmy jeszcze potęgę umysłu i siłę woli, niesłychane u zwykłego człowieka, wrzącą wymowę, kontrast pomiędzy nieznaną, maluczką przeszłością a rozgłośną teraźniejszością, wreszcie i to, że jeden obłąkaniec tego rodzaju wznieca, a raczej rozwija zarodki szaleństwa, tkwiące dokoła w otoczeniu, zmusza je niby do wyjawu i w ten sposób jakoby usetnia siebie w naśladownikach, a zrozumiemy, skąd biorą się te ruchy masowe, szczególniej zwłaszcza w pośród warstw najciemniejszych.

Zarazy takie napotykamy nietylko w Europie; czytamy opisy ich w Abisynii, u murzynów, w świecie klasycznym. I obecnie pełno ich w Europie, zwłaszcza w okolicach dalszych od miast (Kornwalia i Walia, Norwegia, Bretania, podgórze apenińskie); tu należą i zerivale amerykańskie. Niedawno, w odległej dolinie Piemontu, oglądaliśmy takie zbiegowiska; na wieść o zjawieniu się dzieciątka Jezus, mimo śniegów zebrało się 3,000 górali, aż póki nie zaaresztowano włóczęgi — Mesyasza. Wr. 1842 w Norwegii wybuchła wspomniana „Magdkrankheit;" już długo przed tą zarazą umysły były niespokojne w odpowiednich okolicach, a śluby różne i dewocya na porządku dziennym, tak, że gdyby odgadywano co nastanie, możnaby śledzić rozwój epidemii moralnej z dnia na dzień.

Lud. Krzyw.

LINGWISTYKA.

Prace filologiczne, wydawane przez pp. J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom I, Zeszyt II i III. Warszawa 1886 r.

Ukazanie się II i III zeszytu „Prac filologicznych“ uważanem być może za nader pocieszający dowód opieki dla przedsięwzięcia naukowego, które dla specyalności swojej i zagranicą niezawsze pomyślnem cieszy się powodzeniem. Poważne to wydawnictwo przedstawia ciekawy wielce i nieobojętny dla światłego czytelnika materyał. Na wstępie w „Szkicu gramatycznym języków indo europejskich“ p. Hanusz Jan wzywa do rozprawy nad projektem terminologii gramatycznej polskiej, podniesionej niegdyś przez p. Karłowicza (zeszyt I), starając się w pracy swojej zużytkować nowe pomysły. Radzi jesteśmy podjętej w tym przedmiocie pracy, acz zwracamy uwagę, cośmy w tem piśmie uczynili (*Prawda* nr. 33 z 1885 r.), iż w polszczeniu terminologii dla względów dydaktycznych należy mieć na uwadze wyrazy więcej utarte, jak np. przyrostek, wyrzutnia, dodatnia, nie tworząc obok już istniejących, zgoła nowych terminów. Być może, iż wyrazy te mniej odpowiadają ścisłości naukowej, lecz są natomiast łatwiejsze, gdyż oswojenie się z nimi, będące wynikiem pewnego nawyknienia, wielce naukę uprzystępnia, o czem częstokroć zapominają specyaliści.

Co do terminu *wymiana samogłosek*, użytego przez p. Hanusza, nadmieniamy, że ono niezupełne odpowiada niemieckiemu *Ablaut*; gdyż według Grimma*) jest to zmiana samogłosek, której poczęcia szukać należy w koniugacyi języków i narzeczy germańskich. Przez *Ablaut* stosunki czasowe w słowach germańskich dobitniej, zmysłowo się przedstawiają. Wymiana samogłosek zdaniem naszem stosuje się do wyręczenia tych dźwięków bez widocznej przyczyny, bądź w dziedzinie jednolitego (starosł. *oky*, zam. *aky*=łac. uti; *rob*. zam. *rab*.=łac. servus), bądź w stosunku do narzeczy pobratymczych i powinowatych (np. starosł. *grob*. czesk. *hrob*., polsk. *grób*, sanskr. wedyczne *grabh* (a raczej: hrah.), zendzk. *gerep*, *gerev*, staropersk. *garb*. i t. p.). U autora jest to stopniowanie samogłoski rdzennej i pierwiastkowej czyli osnowiej (np. wznawianie *e* na *o* starosł. węzą-woz).

Jakkolwiek w terminologii szczegółowej pożądane są wyrazy polskie utarte, jednak co do ogólnej, nieprzedstawiającej tyle różnolitości, dowolniejszym już powodować się możemy wyborem; dla tego też pierwszeństwo dajemy Hanuszowej *osnowni* w znaczeniu niem. *Stammbildungslehre*, aniżeli dawniejszej lubo więcej utartej *słoworodni* albo *źródłosłowni*. Podobnież co do *odmienni*, t.j. nauki o fleksyach czyli cechach deklinacyjnych i konjugacyjnych odpowiednio niem. *Formenlehre*, *Flexionslehre*. Tylko *znaczennia*, t. j. nauka o znaczeniu wyrazów (Bedeutungslehre) wydaje nam się nieco ułomną; bo moglibyśmy według tego wzoru ułożyć takie dziwolągi, jak: *pisannia*, *czytannia* od *pisanie*, *czytanie*.

Od „Szkicu“ przechodzimy do „Przeglądu bibliograficznego prac naukowych o języku polskim“ uskutecznionego przez p. p. K. Appla i Kryńskiego, którzy postanowili składać sprawozdania o pracach wyłącznie im znanych.

P. Lucyan Malinowski w „Studyach nad etymologią ludową“ zastanawia się nad zmianami nazw miejscowości i osób, przeistaczanych najczęściej w ustach ludu pod wpływem analogii więcej znanych wyrazów.

*) *Geschichte d. deutsch. Sprache*, Lipsk, 1868. *Deutsche Gramm.* Getynga, 1822, cz. I.

W dokończeniu pracy p. Baudouina de Courtenay: „Z patologii i embryologii języka“ załączony jest słowniczek zboczeń językowych nieletniego pacholęcia.

Godną jest uwagi rozprawa p. Hanusza „O wpływie języków wschodnich na słownik języka polskiego.“ Jest to streszczenie i uzupełnie pracy w języku francuzkim, czytanej przez p. Karłowicza na zjeździe oryentalistów w Lejdzie r. 1883.

Zabytków staropolszczyzny wraz z rozbiorami gramatycznymi i bibliograficznymi dostarczyli: p. p. Bystroń (Rozbiór prównawczy znanych dotąd najdawniejszych tekstów modlitwy pańskiej, pozdrowienia, składu apostolskiego i dziesięciorga przykazania), Karłowicz Jan (Mleko duchowne dla karmienia i wychowania chrześciańskich dziatek ku chwale boskiej z XVI w.) i Malinowski Lucyan (Zabytki języka polskiego w rękopisie nr 2503 bibl. uniw. Jagiel. w Krak.). Do rozprawy tego autora dodane jest piękne *facsimile* zabytku.

Dział sprawozdawczy z ruchu piśmiennictwa lingwistycznego powierzony jest p. Hanuszowi, który z najnowszych prac Brugmanna i B. Delbrücka przedstawia nam wyniki badań tak zwanej szkoły młodych gramatyków.

Justyn Feliks Gajsler.

PAWEŁ BERT.

Gdyby ultramontanie, którzy nienawidzili P. Berta i który ich równie nienawidził, chcieli i mogli go ubezwładnić, nie wynaleźliby skuteczniejszego sposobu nad ten, którego w dobrej woli użył Freycinet, wysyłając znakomitego bojownika i badacza na rezydenta do — Tonkinu. Od tej chwili P. Bert był stracony dla obozu wolnomyślnego w ojczyźnie i dla nauki, a przytem narażony na śmierć w klimacie wrogim, która go wreszcie dosięgła. Przeczuwał ją, skoro wyjeżdżając, ubezpieczył swoje życie na korzyść żony w wielu towarzystwach.

Nie frazes to, że Francya republikańska poniosła w nim stratę olbrzymią; służył jej bowiem dzielnie i wielostronnie, zarówno na katedrze profesorskiej, jak i na arenie politycznej. Urodził się r. 1833 w Auxerre. Syn adwokata, z początku studyował prawo, lecz wkrótce, zniechęcony tym przedmiotem, zwrócił się do medycyny i przyrodoznawstwa. Już 1866 wykłada zoologię w Bordeaux a 1869 zostaje profesorem zoologii w Sorbonie. Jednocześnie wydaje szereg dzieł, poświęconych szczegółowym zagadnieniom przyrodniczym i zyskuje sławę.

Ojciec, wyznawca zasad rewolucyjnych, wychował go w nienawiści do szlachty, księży i mieszczaństwa orleańskiego, ale zarazem w uwielbieniu dla Napoleona I, którego uważał za wcielenie rewolucyi. P. Bert wszakże wyleczył się wkrótce (po zamachu grudniowym) ze słabości napoleońskiej. Podczas wojny francusko-pruskiej przyjmuje bardzo czynny udział w obronie narodowej i wchodzi w bliższe zetknięcie z Gambettą. Ten mianuje go naprzód prefektem w Lille, wciąga do Izby deputowanych, wreszcie tworząc ministeryum, powierza mu tekę oświaty i wyznań. Na tem stanowisku Bert rozwija odrazu energiczną działalność: reformuje szkoły i wypowiada zaciętą walkę duchowieństwu, które wydziedzicza zupełnie z praw do opieki nad wychowaniem publicznem. Słynnym jest jego atak (upamiętniony w osobnej książce) na „moralność jezuicką,“ w którym wykazał rozmaite zdrożności etyczne, szerzone przez synów Lojoli. Wystąpił on nadto z pozytywnem żądaniem— w znacznej części praktycznie urzeczywistnionem — ażeby w szkołach wykładano naukę moralności świecką, od religii oddzielną. Pod jego kierownictwem wydano też odpowiednie podręczniki.

Ministeryalna jego rola trwała bardzo krótko i skończyła się z upadkiem ministeryum Gambetty. Bert wrócił znowu do badań naukowych, ale nie przestał oddziaływać w kierunku swych zasad. Od wojny francusko-pruskiej żył nadzieją i uczuciami odwetu, skutkiem tego przywiązywał wielką wagę do wzmocnienia i ukształcenia armii, był zwolennikiem wyprawy do Tonkinu i wogóle przedsięwzięć kolonialnych.

Polityka wymaga zręczności—tego przymiotu Bert w wielu wypadkach nie posiadał. Natura szczera, otwarta, nieumiejąca taić i maskować swoich przekonań, niecierpliwa w urzeczywistnianiu ich, popada zwykle w błędy praktyczne. Gdyby Bert posiadał więcej giętkości, osiągnąłby lepsze rezultaty w walce z klerykalizmem; swojemi szorstkiemi przeciw niemu wystąpieniami narażał często sprawę na gwałtowny opór.

Był to w każdym razie jeden z najsilniejszych umysłów i charakterów współczesnej Francyi. W zarządzie Tonkinem okazał on wiele rozumu, ludzkości, nawet sztuki, tak że po jego śmierci ludność tamtejsza przywdziała grubą żałobę. Francya jednak mogła była zrobić lepszy użytek z człowieka tej zdolności. Szkoda zmarnowanej siły.

LITERATURA I SZTUKA.

C. Lubiński: **Szkice z ziemi i historyi Prus królewskich**. Gdańsk. nakładem E. Michałowskiego, 1887, str. 320.

Jawnego upośledzenia doznawały Prusy od dawien dawna ze strony polaków; za rządów Rzeczypospolitej pod względem politycznym, później po jej upadku, pod względem etnograficzno - historycznym. W dziełach Tańskiej, Syrokomli, Chodźki, nawet W. Pola, obejmujących swym wzrokiem całą Polskę, o mieszkańcach nadbałtyckich nie masz wzmianki. Musiało być to Prusom bardzo bolesnem, że się tak po macoszemu z niemi obchodzono, to też nie można się dziwić, gdy niekiedy rogi pokazały królom i szlachcie, albo, jak rozdąsane dziecko, schowały się nieraz do kąta. Dziś to wszystko tam ustało.

Powinniśmy baczną zwracać uwagę w tę stronę, którą niebawem zaleją fale niemieckie, a która i z etnograficznych względów ciekawy przedstawia obraz. Wymienione w nagłówku „Listy z podróży“ mają nas bliżej zapoznać z tą upośledzoną prowincyą, której najlepszym historykiem jest ks. profesor Kujot. Stanowisko p. Lubińskiego szlachecko-katolickie w sprawach społecznych, archeologiczno-kronikarskie w etnograficznych, obniża znacznie wartość jego książki, trzeba jednak przyznać, że złożone tu spostrzeżenia o charakterze i właściwości Prus, Pomorza i Kaszubów rzucają wiele nowego światła, na te ziemie polskie. Pomijamy opisy kościołów, zamków, ratuszów, pomijamy koleje historyczne, jakie przechodziły Malborg, Gdańsk, Chełmno, Toruń, o czem autor mówi obszernie, a zatrzymamy się nad ludem kaszubskim, jako najmniej nam znanym. Biedny ten ludek, zamieszkujący jałowe wydmy, skazany jest na ciężką i nieustanną walkę z niewdzięczną ziemią, aby z niej wydobyć kawałek chleba, zmuszony nawet przytrzymywać ją gwałtem, by mu nie uciekła, bo skoro wietrzyk dmuchnie, połowa piasku zabiera się w podróż powietrzną. Ale bieda uczy rozumu człowieka, a niewdzięczna przyroda wznieca w nim przemyślność i zapobiegliwość,

stępione nieraz powodzeniem — takie to już prawo w świecie moralnym i fizycznym.

Lud to nieprzystępny o charakterze twardym — jak jego ziemia, i ostrym — jak klimat. Hodowla indyków, bartnictwo, a zwłaszcza rybołóstwo jest główném jego zatrudnieniem. Ryby kaszubskie przychodzą na stoły smakoszów berlińskich, raki zaś i grzyby koszubskie idą do Hamburga i Londynu, a czarne jagody z tucholskich borów wywożą do Francyi, skąd na nasze stoły wracają, jako prawdziwe *Bordeaux*. Bursztyn, stanowiący niegdyś główne bogactwo i sławę krain nadbaltyckich, ceniony w czasach przedchrześciańskich wyżej od złota, stał się dzisiaj dość rzadkim w tych stronach, umiejętnie dobywają go jeszcze pod Puckiem i w kilku miejscach Prus książęcych na koszt rządu, albowiem prywatnym nie opłaciłaby się praca. Pojedyncze, mniejsze lub większe bryły znachodzą się czasem przy kopaniu torfu, przy oraniu i łowieniu ryb, ale bywają także wypadki, chociaż rzadkie, że niejeden „gburek" zrobił fortunkę, jeżeli szczęśliwym trafem znalazł obfitszą żyłę; za kawał bowiem jednofuntowy płacą do 60 talarów.

Szlachty między koszubami bardzo szczupła liczba. Rozrzutność i lekkomyślność, wogóle nieoględność polska przerzedziła i tutaj ich szeregi, resztę wytępił rząd niemiecki zręcznymi fortelami. Oto np. prezes prowincyi pruskiej (Schön), zwabiwszy panów Zabawnickich, potrzebowskich, Niedopatrznych itd., na złoty lep „landszafty," wypowiedział im pożyczone sumy w chwili krytycznej, kiedy nawet o spłaceniu zaległych procentów nie było podobieństwem pomyśleć. Poszły wtedy setki majątków polskich na subhastę, a setki obywateli z torbą w świat, ich miejsce zajęli Meklenbury i Brandebury, którym rząd „forszusował" skrycie potrzebne kapitały i dawał na własność majątki za bezcen — czasem za złożone tylko zaległe procenty. Dzisiejsza nadzwyczaj liczna drobna szlachta kaszubska pochodzi po większej części z czasów króla Jana III, który całe osady, spieszące na potrzebę turecką, nobilitował i obdarzał ryczałtowo jednym klejnotem Półksiężyca; nie różnią się oni wiele od chłopa.

Ciekawe szczegóły etnograficzne i społeczne opowiada Lubiński o mieszkańcach Heli. Mężczyźni i kobiety odznaczają się olbrzymią postacią, zuchwałą odwagą malującą się na twarzy i w postawie, jakiej nabierają wskutek ciągłego pasowania się z dzikim żywiołem morskim i walką o kawałek powszedniego chleba. Ich język jest czysto polski. Największą zaletą tych wyspiarzów jest wzorowa obyczajność. Jest to szczęśliwy skutek ich życia pełnego niebezpieczeństwa, grożącego każdemu co chwila nagłą i gwałtowną śmiercią. W obyczajach panuje odwieczny, patryarchalny komunizm. Nie posiadając własności nieruchomej, albo przynajmniej nie tyle, by się z uprawy roli wyżywić mogli, uprawiają wszyscy jeden łan, koszą wszyscy jedną łąkę, a potem dzielą się plonem. Tym łanem, tą łąką jest błękitne morze, tym plonem są ryby. Mając swój czas i porę połowu, wymagają one różnego zachodu, zawsze jednak odbywa się połów wspólnie, bądź w spółkach po dziesięć do dwunastu rybaków, bądź całej osady. Ostatni sposób praktykuje się zwłaszcza przy wolnych połowach łososi na jesień i na wiosnę, stanowiących niejako żniwa roczne; w tym czasie dzieli się połów tak, jak to bywa z każdym innym nadzwyczajnym zarobkiem, np. z wynagradzaniem za pomoc niesioną rozbitkom itp., na tyle cząstek, ile osada głów liczy, począwszy od niemowląt w kolebce, aż do dziadka u drzwi kościelnych, od stróża nocnego, aż do proboszcza w zakrystyi. Zachowuje się jednak stosunek taki, że co trzy wdowy i troje dzieci biorą tyle, ile jeden mężczyzna dorosły. W roku miernego powodzenia wynosi cząstka, przypadająca na głowę z połowu śledzi 30 talarów, z węgorzy 15 do 20, z flądér 10 do 15 talarów. Dość często jednak bywa zysk daleko mniejszy — np. jeżeli zimny prąd wody morskiej ryby od brzegów półwyspu w inną stronę skierował, albo je stada psów morskich spłoszyły.

Skoro tylko kra puści, zapełnia się Wisła od Krakowa aż do Gdańska tratwami i galarami, spławiając drzewo i pszenicę do morza. Jedyny zysk z tego handlu odnoszą nie właściciele, ale odbierający je niemcy i pośredniczący w nim żydzi. Najcięższą pracę a najlichszy zarobek w tym handlu mają biedni flisacy; przez kilka tygodni a nawet miesięcy nie dostają się pod strzechę, znoszą cierpliwie mróz i upały, żywią się lichą strawą, po dostawieniu towaru na miejsce przeznaczenia wracają nakoniec z nędznym zarobkiem, niekiedy uszczuplonym przez chytrego faktora — pieszo do rodzinnej zagrody. Widać wprawdzie po nich tę biedę, ale nie poznać kłopotu lub niezadowolenia, owszem serdeczna i spokojna wesołość jest główną cechą ich szczęśliwego usposobienia, które podsycane czasem wódeczką, ale nie złotą gdańską, odzywa się na każdej przystani w chwili wypoczynku w strunach wrzaskliwych skrzypek, które namiętnie lubią. „Oko polaka — powiada Lubiński — z pewną dumą pogląda na postacie flisów, z których prawie każdy pod względem postawy i wyrazu twarzy uchodzić może za typ męskiej siły i urody. Flisak jest wysmukły i wiotki jak jodła, a przytem barczysty i żylasty jak dąb; na ogorzałej twarzy, ozdobionej niemal u wszystkich zawiesistymi wąsami, a jakby oprawionej w ramki gęstym, na ramiona spadającym włosem, rozlana jest pewna dobroduszność, zmieszana z cichą energią, a z jasnych oczu patrzy wyraz śmiały i mądry. Dodaj do tego ubiór prosty, czasem brudny i zużyty wprawdzie, ale oryginalny i kształtny, a masz wierny wizerunek polskiego zucha."

Biorąc rzecz ściśle i nie łudząc się pozorami, jest to lud ciemny i zaniedbany, materyał surowy, jak to nieobrobione kłody, przez nich spławiane. Neapolitański lazzaron, druciarz słowacki i flis polski — to rodzeni bracia, wszyscy leniwcy, jeden i drugi woli nie jeść, niż ciężko pracować, a pracuje tylko tyle, byle z głodu nie umrzeć.

H. B.

LITERATURA ANGIELSKA.

J. H. Vines: **Lectures on the Physiology of Plants.**

Książka ta, zawierająca około siedmiu set stronnic, dzieli się na 23 odczyty, których trzy pierwsze zajmują się wyłącznie budową i składem roślin. Autor trzyma się metody używanej zwykle w fizyologii. Odczyt czwarty poświęcony jest wchłanianiu wody przez rośliny, piąty wchłanianiu gazów, dalej autor opisuje krążenie soków, oddech, a od połowy dzieła przechodzi na pole hypotez i odkryć.

Przedmiot to stosunkowo nowy i mało jeszcze zbadany. Dotąd zajmowano się głównie opisywaniem i klasyfikowaniem roślin, dziś dopiero wobec coraz większych zdobyczy wiedzy, przyrodnicy badają przyczyny zjawisk, z których wiele jeszcze jest niewytłumaczonych.

Raphael Medola and William White: **Reports of the East Anglian Earthquake of 22 April 1884.**

Jeden to z najwierniejszych opisów strasznego wypadku, który w tym dniu nawiedził posiadłości angielskie. Trzęsienie ziemi było niezmiernie silne i zostało obserwowane tak dokładnie, tak wiarogodnie, iż stanowi pierwszy podobny dokument, których szereg dopiero może dać właściwe pojęcie o prawach, jakim to zjawisko podlega. Szczegółowe mapy opracowane z niezmierną starannością stanowią ważny przyczynek i stawiają niejako przed oczyma dokładny obraz zboczeń i ruchów ziemskiej skorupy. Z tego powodu książka p. Medoli i Whita ma wielką doniosłość naukową, i ktokolwiek chce dalej badać wstrząśnienia ziemi, nie może pominąć tych ścisłych spostrzeżeń i wniosków.

Przeznaczoną jest ona specyalnie dla ludzi nauki, ale każdy przeciętnie wykształcony czytelnik znajdzie w niej żywe zajęcie z powodu wielu przytoczonych i doskonale ugrupowanych faktów.

Sir William Anson: **The Law and Custom of the Parliament.** Część I.

Jest to druga w tym rodzaju książka, pojawiająca się od kilku miesięcy, a sam fakt ten świadczy, że wywołana została istotną potrzebą. W kraju konserwatywnym, jak Anglia, a stąd bardzo niechętnie zmieniającym swe prawa, musi w miarę potrzeby wyrabiać się prawo zwyczajowe, nieraz niezgodne z pisanem, ale więcej od niego odpowiadające ustrojowi obecnego czasu. Anson bada ten głębszy z dniem każdym rozbrat na specyalnym gruncie parlamentu, któremu część pierwszą swego dzieła poświęcił.

Hugh E. M. Stutfield: **El Maghreb: 1200 Miles Bide through Marocco.**

Państwo marokańskie, chociaż bardzo blizko położone, należy do najmniej w Eupie znanych, według Stutfielda jednak zasługuje ono na bliższe zbadanie, a szczegóły, jakie autor przytacza o kraju, jego bogactwie, obyczajach, administracyi, są bardzo ciekawe. Zwłaszcza dosadnie opisuje on straszliwą demokalizacyę, panującą od góry do dołu administracyjnej drabiny, w której, stosownie do zajmowanego hierarchicznie położenia, jedni okradają drugich systematycznie. Chciwa ręka sułtana ciąży na baszach, baszów na kaidach, a kaidów na nieszczęsnej ludności. Dodać też trzeba, że chrześcijanie i ich protegowani dokonywają na własną rękę niemniej wielkich rabunków. Autor czyni uwagę z tego powodu, iż każdy inny rząd, choćby nie mahometański, byłby dobrodziejstwem dla mieszkańców, byle szanował obyczaje, oraz religię krajowców.

Arnold White: **The Problems of a Great City.**

Zagadnieniem tem jest nędza i jej przeciwstawienie rozwojowi przemysłowemu i gromadzeniu bogactw w rękach niektórych. Pierwsze rozdziały zajmują się kwestyą mieszkań, jeden poświęcony jest wczesnym małżeństwom zawieranym pomiędzy ubogimi, który to zwyczaj przyczynia się silnie do rozmnożenia nędzy. Autor dowodzi także, iż artykuły żywności najniższych klas w niektórych miastach są po większej części fałszowane, co zgubnie wpływa na higienę i tak już lekceważoną z konieczności; wreszcie zajmuje się emigracyą i kolanizacyą, w których upatruje wyjście z obecnego położenia, byle środki te były racyonalnie użyte.

Sir Francis Hastings Doyle: **Reminiscences and Opinions.**

Książka ta, wyglądana z niezmierną ciekawością przez ogół czytelników angielskich, czyni jej zupełnie zadość, zawiera nader cenne wspomnienia człowieka, należącego do wymarłego już prawie pokolenia, który miał sposobność wiele widzieć, a nadewszystko patrzeć umiał. Urodzony w r. 1810, wychował się pod wpływem Byrona i Walter-Scota i kolegował w Eton, w Oks-

fordzie w wreszcie w Londynie z najznakomitszymi ludźmi swego czasu, osobliwie był w dobrych stosunkach z Gladstonem i Tomaszem Grenville. Sam zaś dał się poznać jako poeta i jako krytyk, zajmował też zaszczytnie przez lat wiele katedrę poezyi w Oksfordzie. Na zajęcie więc, obudzone jego wspomnieniami, składa się osobistość autora, zdolność pisarska i szerokie stosunki.

C. Bendall: **A Journey of Literary and Archeological Research in Nepal and Northern India during the Winterof 1884—5.**

W ostatnich czasach Anglia zwróciła baczną uwagę na starożytności literatury i wogóle zabytki dawnej cywilizacyi północnych Indyj; uczony prof. Bendal był dobrze wybranym do odbycia w tym celu naukowej podróży i badania źródeł. Owoce też zebrał obfite. W Kathmandu, w bibliotece tamecznego maharaja, czyli pierwszego ministra Nepalu, wynalazł znaczną ilość nieznanych dotąd zupełnie dzieł, tyczących się astronomii i gramatyki, oraz wiele sztuk dramatycznych, a ponieważ udało mu się dostać kopistów, jest nadzieja, że te skarby literatury indyjskiej wkrótce zostaną znane powszechnie.

Nie samemi książkami interesował się Bendal, obok dawnej zajmowała go także nowożytna cywilizacya i opisuje gruntownie szkoły krajowców w Shamnagar i Bathpana, otwarte za staraniem kilku bogatych, dobroczynnych rodzin indyjskich.

Dalej autor daje wykaz książek, pisanych sanskrytem i praksitem, które nabył dla bibliotek angielskich, liczba ich przechodzi 200. Podróżnik też skopiował kilka ciekawych napisów sanskryckich, których tekst oryginalny podaje teraz z tłomaczeniem angielskiem. Ciekawe ilustracye, według fotografij zdjętych na miejscu przez autora, zdobią książkę. Przedstawiają między innemi piękne okazy architektury indyjskiej, świątynie, klasztory buddystów w Patan i Kathmandu.

Spencer Walpole: **A. History of England from the Conclusion of the Great War. in 1815.** Tomy IV i V.

Autor kończy swe dzieło ostatecznem zwycięztwem wolności handlu w 1852 i 53 r. co do spraw wewnętrznych, a historyę stosunków zewnętrznych traktatem paryskim w r. 1856. Opisując czterdziestolecie, płodne w wypadki większej doniosłości ekonomicznej niż wojskowej, czyni to z kronikarską dokładnością. Jest to szczegółowa historya wewnętrznego rozwoju kraju, zakończona niezmiernej doniosłości reformą, osiągniętą przez szkołę manchesterską i ligę Cobdena, która z gruntu zmieniła zasady polityczne Angli.

B. Whately Cooke Taylor: **Introduction to the Factory System.**

Jest to książka pełna faktów, zawierająca ogólne dzieje rękodzielnictwa od najdawniejszych czasów do wynalezienia tkalni mechanicznych. Ojciec autora, dr Cooke Taylor pisał już w tym przedmiocie, a syn, wybornie obeznany z systemem fabrycznym jako inspektor, posiada wszystkie wymagane uzdolnienia do napisania gruntownego w tym przedmiocie studyum.

Sir C. Gaovan Duffy: **The Leagne of North and South. an Episode in Irish History 1850—54.**

Duffy, jeden z pierwszych przewodników ruchu irlandzkiego, opowiada w tej książce ze słuszną dumą walki toczone niegdyś przez starsze pokolenie, do którego sam należał. Walki te były daleko cięższe i trudniejsze, niż te, które mają miejsce dzisiaj, ale utorowały im drogę, tem samem in to zwydzięczа Irlandya dzisiejsze swobody, chociaż te nie są zupełne jeszcze; stan obecny o wiele pomyślniejszy niż dawniej, a co więcej, jest już rzeczą widoczną, że ostateczne równouprawnienie stanowi tylko kwestyę czasu.

Dziś, gdy wszystkie oczy zwrócone są na Irlandyę, dzieje tego nieszczęśliwego kraju są dobrze znane. Duffy nie pisze więc rzeczy nowych, ale żywość opowiadania naocznego świadka i współdziałacza w wypadkach nadaje im szczególny interes. Kreśli on powstanie i upadek ligi dzierżawców, znanej pod nazwą „Tenant League.“ Głównym czynnikiem tego upadku był arcybiskup Culben, który uważał po trosze każdego, należącego do związku, za wyznawcę Mazziniego i innych rewolucyonistów barwy radykalnej. Pomiędzy ludźmi, którzy najwięcej dotknięci zostali postawą przybraną przez wyższy kler irlandzki, był Fryderyk Lucas, jeden z najdzielniejszych przywódców ruchu. Służyć on może jako dowód potęgi rasowej, niezwyciężonej wychowaniem. Lucas kształcił się w Anglii w duchu anglików, a należał do sekty kwakrów; pomimo to, skoro tylko powrócił do Irlandyi, skoro odetchnął powietrzem ojczystem, anglik przedzierzgnął się w gorącego irlandczyka, a kwakier przyjął katolicyzm, jako religię narodową. Działanie więc arcybiskupa dotknęło go w najdroższych uczuciach. Podobnych postaci nieszczęśliwa wyspa posiadała wiele. Duffy je opisuje z talentem i miłością, co czyni książkę jego niezmiernie zajmującą.

M.

WSPÓŁCZESNY RUCH UMYSŁOWY
w Bułgaryi.

Literatura bułgarska, we właściwem znaczeniu tego wyrazu, zaczyna się dopiero wytwarzać, chociaż pierwociny jej odnieść można do VIII i IX wieku. Wtedy nawet, jakkolwiek w ciasnym ograniczona zakresie, przodowała innym słowiańskim. W epoce późniejszej wojny krwawe i waśnie zewnętrzne powstrzymały jej rozwój, niewola turecka zaś zabiła go zupełnie.

Słaby przedświt odrodzenia błyska dopiero w końcu XVIII wieku, a w początku XIX zjawiają się pierwsze książki drukowane po bułgarsku, rozumie się treści kościelnej. Właściwe odrodzenie literatury rozpoczyna dopiero Jurij Wenelin, rusin węgierski, z zapałem oddający się badaniom rzeczy słowiańskich. Dzieło jego p. t.: *Bułgarowie dawni i dzisiejsi* było pierwszym posiewem, z którego wyrósł później kwiat samowiedzy narodowej. Wychodźcy bułgarscy i wychowańcy zakładów naukowych rosyjskich prowadzą dalej pracę rozbudzenia uśpionej narodowości, czas wolny od propagandy poświęcając pisaniu książek i wydawaniu czasopism. Dwaj bogaci kupcy, Apriłow i Pałauzow, zakładają szkołę w Gabrowie. a przykład ten, pomimo licznych trudności, znajduje wielu naśladowców. Pisarze bułgarscy zostają wszyscy prawie nauczycielami, przyrywają nawet działalność autorską, pragnąc najprzód przygotować sobie czytelników. W ruchu tym przyjmuje również czynny udział duchowieństwo, któremu, jak wiadomo, należy się zaszczyt wskrzeszenia piśmiennictwa narodowego. Księża-narodowcy występują namiętnie przeciw duchowieństwu fanaryockiemu, które starało się zgreczyć bułgarów i cieszyło się opieką rządu tureckiego. Walka o kościół zakończyła się ich zwycięstwem, w 1870 r. sułtan ustanowił oddzielny egzarchat bułgarski. Dla dopięcia celu próbowano rozmaitych środków, nawet unii z Rzymem i jednym z jej zwolenników był sławny dziś Dragan Cankow. Ciekawa rzecz, że wówczas był on przeciwnikiem panslawizmu.

Usiłowania drugiego stronnictwa narodowego, dążącego do zupełnej niezależności i wypędzenia z kraju turków, mniej ujawniały się w piśmiennictwie, ponieważ działalność jego z natury rzeczy była tajną. W Rosyi, Austryi, zwłaszcza zaś w Rumunii drukowano broszurki agitacyjne, nawet książki i wydawano pisma. Dopiero w czasie ostatniej wojny dzienniki przenoszą się do kraju rodzinnego. Patryoci, którzy najwięcej w walce narodowej się odznaczyli, jednocześnie zajmują przodujące stanowisko w literaturze. W pierwszym szeregu stoi Jerzy Stojko Rakowskij, który rozwinął działalność wielostronną, jako poeta, archeolog, etnograf, publicysta, wreszcie jako nadzwyczaj czynny agitator polityczny i kościelny. Syn zamożnego włościanina, uczył się w Konstantynopolu, Atenach i Paryżu, był nauczycielem w Odesie i Belgradzie, przez czas jakiś hajdukował w Bałkanach, potem stworzył w Rumunii legion bułgarski, potem ukrywał się w Rosyi, nakoniec umarł w Bukareszcie 1868 r. Jako poeta pozyskał rozgłos utworem p. t. *Gorski putnik* (pielgrzym górski) — jest to prawdziwa epopeja hajducka. Dzieła jego: *Starożytności bułgarskie* i *Opis życia ludowego bułgarskiego* nie posiadają wartości naukowej, przedstawiają jednak zbiór ciekawych materyałów.

Dzisiaj w piśmiennictwie bułgarskiem przoduje Petko Sławejkow, ur. 1825 r., który w bardzo młodym wieku pozyskał rozgłos swoim zbiorem pieśni p. t. *Basnenik*. Więcej jeszcze popularnym uczynił go kalendarz satyryczny, wydawany w ciągu lat 4-ch. w epoce najzaciętszej walki kościelnej. Sławejkow jest najlepszym znawcą Bułgaryi, prace jego krajoznawcze tworzą kilka tomów. W ostatnich latach przyjmował udział w życiu politycznem kraju. Ze współzawodników jego zasługują na wzmiankę: Najden Gerow, b. konsul rosyjski w Filipopolu, Żinzifow ur. w 1838 r., autor poematu *Krwawa koszula*. Jest to historya wieśniaczki bułgarskiej, której turcy zabili syna. Z młodszych poetów wymienić należy: Popowicza, Zintułowa, Iwanowa i Wazowa. Ten ostatni, uważany za najzdolniejszego, wydał tom poezyi p. t. *Tagitie na Błgaria*, odznaczających się mocą uczucia.

Pomiędzy powieściopisarzami pierwsze miejsce należy się zmarłemu Lubenowi Karawełowowi, bratu dzisiejszego regenta Petka. Powieści jego: *Matka Neda*, *Hadżi Nako* stanowią prawdziwą historyę męczeństwa ludu bułgarskiego. J. Bleskow odznaczył się, jako autor powieści obyczajowych. Wasili Drumew, znany obecnie pod imieniem metropolity Klimenta, napisał powieść, uważaną za najlepszą w literaturze bułgarskiej, p. t. *Nieszczęśliwa rodzina*. Kliment w młodych latach był zapalonym spiskowcem i nadzwyczaj czynnym pisarzem, z pod pióra jego wyszedł również jeden z lepszych dramatów — *Iwanka*. Zresztą literatura dramatyczna zaledwie poczyna się rozwijać, dotychczas nie ma nawet stałego teatru bułgarskiego. Pomimo to i w tym dziale piśmiennictwa znajdujemy utwory godne uwagi, jak np. dramat *Wielesława księżniczka bułgarska* Wojnikowa i tegoż autora komedya: *Niezrozumiana cywilizacya*. Godne są także wzmianki komedye Dobropłudnego i Z. Ikonomowa.

Dziejopisarstwo posiada poważnych przedstawicieli w osobach G. Krestowicza i Maryna Drinowa; ten ostatni, wychowaniec uniwersytetu moskiewskiego, w pracach swoich stosuje nowszą metodę krytyczną.

Niezmiernie oryginalną postacią w piśmiennictwie bułgarskiem jest Panajot Hitow. W młodości miał on zajście z urzędnikiem turkiem, zabił go, poczem zbiegł w góry i utworzył bandę hajduków. Potem przyjmował udział w powstaniu 1869 i przez rok cały ukrywał się w Bałkanach. Przygody swego awanturniczego życia opisał w osobnej książeczce, nader zajmującej treścią, chociaż suchej i jednostajnej pod względem stylu.

Pierwszy dziennik bułgarski wychodził zaczął w Smyrnie r. 1845 i w następnym zakończył swój krótki żywot. Po tej próbie idzie wkrótce szereg innych, ale zawsze za granicami kraju: w Konstantynopolu, Moskwie i Bukareszcie. W tym ostatnim mieście 1875 r. zaczyna wychodzić organ rewolucyjny *Stara Planina*, w Giurgewie powstaje *Błgarski Glas* a w Belgradzie — *Nowa Błgaria*. Po wojnie prasa rozwija się w kraju, ale życie polityczne nadaje jej właściwy odcień. Obecnie liczą w Bułgaryi 15, czy nawet 16 pism politycznych, literackich zaś właściwie dwa tylko. Do tych ostatnich należą: *Periodiczesko spisanije* w Sofii, redago-

wane przez Pijewa, i miesięcznik ilustrowany *Jantra* — w Tyrnowie. *Periodiczesko spisanije* jest organem towarzystwa naukowego „Bułgarsko kniżevne drużestwo,“ zawiązanego w r. 1869 r. w Braile, a później przeniesionego do kraju, które, oprócz wydawnictwa książek, zajmuje się zbieraniem materyałów historycznych.

Najstarszym dziennikiem jest *Bługaria* w Ruszczuku, nieodznaczająca się żadnemi zasadami wybitnemi. Tamże wychodzi także *Słowjan*, pismo liche, służące za cel pocisków humorystycznych całej prasy.

W Sofii istnieje aż 5 pism, a najpoważniejsze — *Trnovska konstitucja*, z programem liberalnym. Dziennik ten ulega wpływom Karawełowa, zresztą nagina się zawsze do widoków rządu, redagują go ludzie młodzi, wychowańcy uniwersytetów zagranicznych. Radykalnym organem jest *Neżawisimost'*, której redaktorami są Petkow, Rizow i sławny obecnie Zachar Stojanow. *Swietlina* (dawniej *Sredec* — bułgarska nazwa Sofii) wyznaje zasady narodowo-liberalne, w polityce zaś skłania się do Rosyi; dziennik ten zostaje pod wpływem Cankowa. Oprócz tego istnieje jeszcze *Napred*, pismo postępowe, ale bezbarwne pod względem politycznym i oryginalny *Demokrat* (obecnie, zdaje się, zawieszony, który usiłował pogodzić politykę przychylną dla Rosyi z zasadami demokracyi socyalnej).

W Filipopolu wychodzi również 6 dzienników. *Plowdiw*, organ rządowy, *Sjedinienje* — opozycyjny względem rządu dzisiejszego, redagowany przez b. dygnitarzy rumelijskich; do tej samej kategoryi należą *Nowini*. *Narod*, redagowany przez Dymitrowa stoi na gruncie niezależności narodowej i żąda załatwienia nieporozumień z Rosyą. Wreszcie *Prawda* i *Istina*, w której czynny udział przyjmuje Sławejkow, mówi również o protektoracie Rosyi, aby pod skrzydłami jego przeprowadzić zupełne zjednoczenie ziem bułgarskich. *Prawda* występuje gwałtownie przeciw socyalizmowi, którego doktryna liczy wielu wyznawców wśród inteligencyi bułgarskiej. Sławejkow oświadcza się teraz jako stronnik Rosyi, gazety rosyjskie przypominają wszakże, iż uczucia słowiańskie znanego poety często zmieniały barwę, a nawet ulatniały się zupełnie i że, podobnie jak Cankowowi, wierzyć mu nie można.

W Burgasie wychodzi przychylny Rosyi *Błgarskij Wiestnik*, w Sylistryi—*Zora* i w Konstantynopolu — *Zornica*. To ostatnie pismo wydawane jest przez misyonarzy amerykańskich w celach propagandy, posiada ono dodatek miesięczny, ilustrowany, poświęcony literaturze p. t. *Małka Zornica*.

Jedną z głównych przeszkód rozwoju piśmiennictwa bułgarskiego jest język książkowy, przedstawiający dziwną mieszaninę cerkiewno-słowiańskiego z mową ludową. Dla rozkwitu piśmiennictwa, zapowiadającego się dziś pomyślnie, jest to sprawa wielkiej doniosłości.

F. Z.

KARTKI ESTETYCZNE.

V. Jeszcze o grzechach głównych naszego malarstwa.

Nie ręka malarza tworzy obrazy, ale mózg jego.

Można posiadać największą nawet wprawę ręki, a być mimo to zerem artystycznem, lub, co najwyżej, kopistą. Toż samo w literaturze. Najwybitniejsza znajomość stylistyki i form językowych nie stanowi jeszcze pisarza. Co więcej ,pisarz z talentem, pisarz „urodzony“ potrafi się niekiedy bez znajomości owej obywać. a w potrzebie własną stylistykę i własny język dla siebie wynajdzie.

O prawdzie tej zamało pamięta dzisiejsze pokolenie artystów.

Stara się ono głównie o zdobycie form malarskich, o reszcie zapominając, czyli: wydoskonala narzędzie, z którem się następnie obchodzić nie potrafi.

Popisywanie się ze znajomością perspektywy, anatomii itp. nie jest jeszcze właściwą sztuką. To dopiero jej łupina. Często stokroć przy naiwnych nawet formach dzieło sztuki czynić może potężne wrażenie i zdobywać sobie nieśmiertelność. Pierwszy lepszy żak z pierwszej lepszej szkoły malarskiej potrafi wytknąć Rembrandtowi błędy rysunkowe. Ale mimo to, Rembrandt jest i pozostanie geniuszem.

Malarze dzisiejsi zdają się mieć na celu jedno tylko: jak najściślejsze naśladowanie natury. Właściwie mówiąc, naśladują oni jedynie niektóre, najbardziej pod oczy podpadające oznaki. To, co stanowi istotną treść natury, wymyka im się z pod myśli, a więc i z pod pędzla.

Odtwarzajcie, panowie, naturę, i owszem. Odtwarzajcie samą tylko naturę — ale odtwarzajcie ją w pełni. Jeżeli las malowany obudzi w patrzącym też same pojęcia i uczucia, co las rzeczywisty, będzie malarskiem arcydziełem.

Ale tworzenia arcydzieł nie nauczy żadna szkoła, tak samo jak talentu nie nabędzie się przez studya. Z tem, co można wynieść ze szkoły, i to z dobrej szkoły, jaką jest naprzykład monachijska, spotkać się u nas można bez trudności. Wystawy nasze bardzo często pokazują nam ćwiczenia uczniów malarskich, zasługujące na stopień celujący. Ale ćwiczenia takie mogą być zajmującemi tylko dla ucznia i nauczyciela. Ogół patrzy na nie obojętnie.

Właściwa działalność artystyczna, to jest działalność twórcza, skądinąd wypływa i w odmiennym zmierza kierunku. Artysta nie zzewnątrz ją czerpie, ale z siebie samego. Od szkoły bierze on tylko formę, w którą własne swe myśli zamyka. A wartość rzeczywista jego dzieł zależy nie od umiejętnego korzystania z otrzymanych lekcyj, lecz naprzód, od stopnia wrodzonego uzdolnienia, a następnie, od obszaru wiedzy i uczuć, jakie zdobył pracą i życiem.

Czy malarz będzie posługiwał się w technice „plamami barwnemi,“ jak uczy szkoła najnowsza, czy też zechce obraz swój najprzód rysować, a potem kolorować, jak to dawniej czyniono, rzecz to małej wagi. Dla ogółu interesującem jest tylko: co on za pomocą tych plam lub konturów wypowie nowego?

„W dziele sztuki zajmuje nas jedynie duchowa osobowość jego twórcy“ — oto w krótkich słowach zamknięta długa teorya estetyczna. Można z prawdy tej wyprowadzić logicznie inną, która będzie brzmiała: „Dzieło sztuki tyle jest warte, ile jest wart jego twórca.“

Dobrze jest mieć zapas środków, potrzebnych do ucieleśnienia myśli; przedewszystkiem jednak potrzeba mieć myśl samą. A kształcenie wyłączne ręki i oka, czyli to, co się nazywa akademickiemi studyami, zakresu myśli nie powiększy.

Szkoła uczy jedynie przenoszenia na płótno żywych lub martwych modeli. Prócz tego, uczy ona posługiwania się taką lub owaką techniką. Mówiąc inaczej, szkoła wykłada sztukę naśladownictwa—naśladownictwa natury i naśladownictwa wykładających w niej „mistrzów.“

Tymczasem właściwa sztuka zaczyna się tam właśnie, gdzie kończy się wszelkie naśladownictwo.

„Cóż to zachwyca nas we freskach kaplicy Sykstyńskiej, kędy Michał Anioł wyobraził rozdzielenie światła od ciemności? O żadnem naśladownictwie natury mowy tu być nie może. Michał Anioł, podobnie jak nikt z ludzi, stworzenia świata nie oglądał. Wartość jego dzieła zależała wyłącznie od wartości pojęcia, jakie sobie o scenie owej zdołał wytworzyć; żywiołów zaś, składających się na to pojęcie, nie mógł on znaleźć nigdzie, jak tylko —w samym sobie.“

Oto jeden przykład z estetyki pozytywnej zaczerpnięty.

A oto drugi, jeszcze bliższy naszego przedmiotu:

„Kiedy Ruysdael przedstawia nam krzak, wichrem targany, czyż zajmuje nas na jego obrazie indywidualność owego krzaku? Czyż, aby nas obraz ten wzruszył, musimy być koniecznie pewni, iż krzak malowany jest ściśle podobnym do krzaku rzeczywistego, który artyście służył za model? Co nam do tego! Nie zachwyca nas tu mniejsze lub większe podobieństwo do natury, lecz jedynie pewien szczególny charakter odciśnięty na obrazie i komunikujący nam wrażenia samego artysty.“

Gdy z powyższemi prawdami w pamięci zwrócimy się do naszego współczesnego malarstwa, cóż nas w niem przedewszystkiem uderzy?

Obok względnej doskonałości form, rozpaczliwe ubóstwo treści; obok udatnego powtarzania wzorów profesorskich, zupełny niemal brak samodzielności; obok tysiąca kopij, jedna może tylko próba oryginalna.

Gdyby zasadę „styl to człowiek“ zastosować do twórców płócien, przepełniających nasze dzisiejsze wystawy, wypadłby stąd rezultat niedość dla nich pochlebny. Przeciętny typ dzisiejszego artysty przedstawiłby się nam podobnym do przeciętnego typu filistra. Tak zwana „szczęśliwa mierność“ byłaby najwydatniejszą jego cechą. Obok tego: żadnych namiętności, wybuchów, niespodzianek, nic zgoła, co się rodzi z nadmiaru sił żywotnych i ducha.

Typ ów przedstawiłby się nam także pozbawionym wszelkich spokojniejszych dążeń i pokuszeń myślowych. Piersi jego nie wstrząsałaby żadna miłość lub nienawiść ogólniejszej natury: mózgu nie świdrowałoby żadne zagadnienie społeczne, które innym sen z oczu spędza. Nie byłby to ani poważny myśliciel, ani namiętny szaleniec; ani ideolog, pragnący sztuką świat przekształcić, ani panteista, ubóstwiający bałwochwalczo przyrodę. Nie miałby on nawet w sobie prawdziwej męzkości, a zdobywszy się na iskierkę żądzy, potrafiłby zostać zaledwie niedokrewnym, buduarowym zdechlakiem...

Dzisiejsi artyści idą samym środkiem życiowego gościńca, pospołu z tłumem ladzi „przyzwoitych i porządnych.“ Nie zbaczają oni ani na prawo, ani na lewo, nie patrzą ani w górę ani na dół. Malują obrazy lub obrazki z tym samym spokojem i z tąż samą poprawnością, z jaką ich towarzysze piszą w biurach urzędowe referaty lub pieprz ważą po kramach. Nie roznamiętniają się oni do wielkiej idei, ani nawet do wielkiej sławy. Wymalować gładki obrazek na jeden z kilku tematów, obrazek ten pokazać światu na tej lub owej wystawie, uzyskać u znajomego reportera reklamową wzmiankę w brukowem pisemku a u pobłażliwego krytyka umiarkowaną lub nieumiarkowaną pochwałę, na uwieńczenie zaś wszystkiego, obrazek sprzedać osobie prywatnej lub Towarzystwu zachęty „do rozlosowania“— oto ich wszystkie ideały i pragnienia.

Naprózno oglądam się za takim, któryby rzucił utarte szlaki i starał się nową ścieżkę wśród gęstwiny wydeptać, i za takim, któryby wziąwszy temat powszedni, oświetlił go odmiennie od innych, rozszerzył, pogłębił...

Wszyscy drepczą drobnymi, przyzwoitymi kroczkami w ciasnem i szczelnie zamkniętem kółeczku, nie wychylając się na cal jeden po za metę.

A trafiają się w tym tłumie nawet ludzie zdumiewająco pracowici, którzy wszystkie godziny dnia spędzają nad papierem lub przy stalugach. Ludzie ci, przed laty kilkunastu lub kilkudziesięciu, wystudyowali w naturze jakiś naprzykład efektowny strumień, malowniczy złom skały, oraz dwie lub trzy ładne brzozy i jedną

romantyczną jodłę. Jest to ich cały artystyczny kapitał. Ale zdumiewająca praca umie tych kilka nikłych motywów kombinować coraz inaczej, i zaprawiwszy świeżym sosem, sprzedawać światu za nową potrawę. Są to niezmordowani pracownicy, znojący się przez całe życie nad... przelewaniem z pustego w próżne.

Niektórzy w inny znów sposób ułatwiają sobie zadanie.

Czepiwszy się jednego modela lub modelki, przebierają ich nieustannie w coraz inne kostiumy, i nie wychodząc za próg pracowni, malują pod coraz nowymi tytułami. Tym sposobem jakiś poczciwy Kuba z Powiśla lub mniej poczciwa Rojza z ulicy Gęsiej, pokazują się światu kolejno w roli: włochów, krakowiaków, rzymian, mieszkańców staropolskiego dworu, kalabryjskich rozbójników, itp. Zmienić kostyum w celu stworzenia nowego typu — czyż to nie dosyć? Zresztą, w razie koniecznej potrzeby, można domalować brodę, albo też dodać (jeśli chodzi o krakowiankę) lub ująć (gdy ma być Ofelja) trochę naturalnego rumieńca...

Istnieje pewna elastyczna a niebezpieczna teorya, która artystom o ciasnym umyśle i ciężkiej fantazyi służy za doskonałą wymówkę przed światem i sobą. Jest to zwalczona przed laty kilkudziesięciu a obecnie zmartwychpowstała teorya „sztuki dla sztuki.“ Teorya ta rozgrzesza artystę z braku myśli w obrazie. Cóż to za pożądany przywilej dla ludzi, których mózg pusty jest jak stodoła na przednówku!

Pod kategoryę „sztuki dla sztuki“ podciągnąćby się dała większość dzisiejszych malowideł — gdyby nie to, że i „sztuki“ właściwej, sztuki, która sama sobie celem być może, najczęściej trudno się tam dopatrzeć...

Gdy te setki i tysiące malowanych płócien, które tak radują heroldów „polskiej szkoły,“ blizka nawet przyszłość przez sito krytyczne przepuści, ile z nich w pamięci publicznej pozostanie?...

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zabawki dziecinne. — Cło jako ratunek. — Zagadki p. Tarczyńskiego. — Ruch książkowy. — Jasełka wydawnicze. — Plomyki na głowni. — Nowe pisma. — Idee i spekulacye. — Słynny karmnik. — Przedstawienia żarłoctwa.— Skurczone żołądki. — Proboszcz i biskup. — Umieliśmy. Śluby wobec p. Titowa. — Co się z nich stało. — Nadwyrężanie resztki kredytu. — Proces teatralny. — Sitarze dramatyczni. — Sprostowanie i poezya *Gazety radomskiej*. — Muza w krynolinie i w koku.

...Zwłaszcza na tem miejscu *Prawdy* najczęściej osiadała ta gorzka rosa, a czytelnik, przesycony piołunem, nieraz może pytał: czy to się takiem rodzi, czy tylko ty tak przyprawiasz? Rodzi się.

Już chyba wszyscy ekonomo-fejletoniści powtórzyli zdanie, że wyrób ładnych i niedrogich zabawek dziecinnych może u nas liczyć na wielkie powodzenie. Ile kraj potrzebuje a nie ma tego materyału, zważmy pośrednio: w r. 1884 cło od zabawek dziecinnych zagranicznych wynosiło 108,920 rs., w r. 1885 — 114,760, w pierwszej połowie bieżącego, która nie jest porą przywozu tych przedmiotów — 47,000. I cóż nasi przemysłowcy, wsłuchani w te wymowne cyfry? A no — według *Gazety warszawskiej*, mają żądać od Towarzystwa popierania przemysłu i handlu... podwyżki cła. Oto nasza zwykła recepta ekonomiczna, od pewnego czasu zapisywana na różne choroby i posyłana do tej apteki protekcyonizmu. Pierwszą myślą naszych fabrykantów nie jest podniesienie wartości wyrobów krajowych i działanie współzawodnictwem, ale — cło. Pragną tylko, ażeby ich ubezpieczono od konkurencyi z wyrobami zagranicznymi, ażeby oni pod tą osłoną mogli partolić i fuszerkę swoją drogą sprzedawać. Podczas obrad w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, kiedy na językach wyrastał ciągle jeden tylko wyraz: cło, sprawozdawca nasz zwracał uwagę, że w tym jednym środku trudno zamknąć całe lecznictwo ekonomiczne — głosy wielu innych pism nie wtórzyły mu w tem *liberum veto*. Dziś powoli, gdy niektóre skutki okazały wartość swych przyczyn, słyszymy westchnienia. Rozważniejsza od wielu swych towarzyszek i nielekkomyślna *Gazeta warszawska* dwukrotnie w ciągu tygodnia wytknęła zwolennikom bezwzględnego protekcyonizmu ich nadmierny a niezdrowy apetyt, który objawia się również przy zabawkach dziecinnych. Znamy dobrodziejstwa systemu ochronnego dla społeczeństw ubogich i przemysłowo nierozwiniętych, jak nasze, ale i ta struna, jak każda inna, zbyt przeciągnięta, wydaje tony fałszywe.

P. Hip. Tarczyński wydał „151 wesołych i pożytecznych zagadek, pytań i żarcików dla dzieci.“ Książeczka to niewątpliwie bardzo pouczająca. Dziecko rozwiązuje zagadkę — np. „dwa nożyki połączone, każdy z ostrzem w inną stronę“ — nawyka do ściślejszego ujmowania cech rzeczy, do dostrzegania ich rysów znamiennych. I tu wszakże należy ustanowić sobie pewną miarę i ciągle jej trzymać się. Otóż w książeczce p. T. miara ta niezawsze jest zachowywaną. Dzieciom maleńkim każe on np. odgadywać:

Naród wschodni w Europie
Ma półksiężyc na kościele,
Jest bezwładny już lat wiele,
Wkrótce sobie grób wykopie.

Wymagać od dziecka kilkoletniego —dla takich widocznie przeznaczone są inne zagadki —ażeby ono wiedziało, że we wschodniej Europie mieszkają turcy, którzy mają „półksiężyc na kościele,“ są „bezwładni“ i „wkrótce sobie grób wykopią“ — jest to żądać, co najmniej, ażeby pilnie czytywały prasę polityczną. Przyznać jednak trzeba, że podobnych zagadek znajdujemy w zbiorku zaledwie parę; inne, chociaż niezawsze trafnie wyrażone, wiedzy dziecinnej nie przekraczają. W każdym razie myśl dobra i autor powinien ją w dalszych wcieleniach doskonalić.

Przypuszczam, że za tych czasów nie dopuścilibyśmy się takiej... oszczędności, jakiej dowód wywieszono publicznie w *Kuryerze warszawskim*. Przy budowie kolei Nadwiślańskiej obowiązki inżeniera głównego pełnił p. Titow, który pozyskał tak szeroką sympatyę, że gdy w r. 1878 opuszczał Warszawę, pożegnano go serdeczną ucztą, toastami i gotowością złożenia na tę pamiątkę 4,000 rs. jako stypendyum. Rozrzewniony tem p. Titow oświadczył, że ze swej strony przeznacza tyleż i sumę tę rzeczywiście w banku złożył. Od tych ślubów upłynęło lat sześć i ze wszystkich, którzy pili zdrowie, ściskali się i zobowiązali do ofiary, jeden tylko p. Kuksz wypłacił 125 rs. Reszta zapomniała o nieopatrznych, choć uroczystych przyrzeczeniach. Co sobie myśli p. Titow? Uśmiecha się złośliwie, bardzo złośliwie. A co o tym uśmiechu myślą jego czciciele? Udają, że go nie widzą, a odezwy p. Kuksza nie słyszą. „Święta niemoto! gdybyś opanować chciała te usta...“ Ach, szanowni toastowicze, nikt od was nie wymaga, ażebyście składali 4,000 rs. na stypendyum, kiedy nie macie ochoty, ale o co wolno was prosić, to o nieprzyrzekanie uroczyste tego, czego nie myślicie dotrzymać. Przecie to tak łatwo język zahamować. Czy was wiele kosztowałoby przymusu, gdybyście nie obiecywali? Czy kompromitacya po złamaniu słowa nie jest przykrzejszą od wstrzemięźliwości w bezmyślnej bladze? P. Titow uważa was za... dzieci. I nietylko on. Wszyscy, bo nawet my sami drwimy z naszych uchwał zbiorowych. Gdy jednostka coś ślubuje, można jej wierzyć, ale gdy to czyni gromada, sami jej uczestnicy nie dadzą za najuroczystszą przysięgę złamanego grosza. Po wyjściu z jakichkolwiek narad, za progiem już przepowiadamy sobie, że żadna z nich nie będzie spełnioną. Nad niczem nie pracujemy gorliwiej, jak nad pozbawieniem słów naszych odrobiny kredytu. Skorzy jesteśmy do tworzenia banków, stowarzyszeń pożyteczenych, wydawnictw naukowych — dopóki pracuje nasz język; ale gdy przyjdzie kolej na ręce, krzyżuje my je bezczynnie. Niestety, tak bywało zawsze, a rzadko kiedy bywało inaczej. Wejdźcie do pierwszego lepszego towarzystwa, zaproponujcie, ażeby obecni opasali swój kraj złotym drutem, natychmiast wszyscy się zgodzą i zaczną przeliczytowywać między sobą ofiary: ten da wiorstę drutu, tamten — milę, inny — 100 mil, ale nazajutrz nikt wam nie złoży nawet cala.

Gazeta radomska uroczystą odezwą obala wiadomość kronikarza *Prawdy*, jakoby zmieniła redakcyę i zasady. Oświadcza, że pierwsza i drugie od początku istnienia pisma pozostają niezmienione. Nie mam powodu temu przeczyć, ale sądzę, że pewna zmiana zasad przydałaby się temu organowi. Zwłaszcza jego poezye wywołują prawdziwy popłoch na Parnasie a mściwy Apollo, podburzony przez Muzy, gotów wystrzelać wszystkich wieszczów radomskich. Jeden z nich „na żądanie dziewicy“ radzi, żeby uroku nie szukała „w ciasnych pojęć zmroku,“ nie igrała z obowiązkami, bo „chcieć je zerwać niebezpieczna *stawka*,“ żeby jej serce było „czystem jak świątyni *progi*,“ a wtedy może śmiało wstąpić w „*tłumne* świata szranki.“ Wiersze takie robią na mnie wrażenie krynoliny lub koka: zdawało się, że już przepadły bezpowrotnie, aż tu pewnego dnia spotykasz je w stroju prowincyonalnej elegantki. Pozaprowadzeniu kolei z Warszawy do Radomia Muzy tamtejsze nie powinny już używać ani krynolin, ani koków. Mam nadzieję, że gdy do redakcyi wejdzie p. Wacław Karczewski (Maryan Jasieńczyk) „tak świetnie poczynający talent,“ ta moda w *Gazecie radomskiej* zniknie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Konieczność zmiany. — Obowiązkiem społecznym wierzyciela jest... nieposzukiwać należności. — Nierzetelność. — Przyszła wystawa hygieniczna. — Miasto, w którem hygiena jest nieobecną.

Zmiana stosunku liczebnego pomiędzy większą a mniejszą własnością ziemską w kraju naszym zdaje się być coraz bliższą urzeczywistnienia. Obecnie własność większa posiada jakoby 10,800,000 morgów, mniejsza zaś 10,000,000 morgów ziemi. Lecz z jednej strony własność większa dąży jawnie do zmniejszenia swoich obszarów, z drugiej mniejsza usiłuje swoje grunta powiększyć. Usiłowaniom obustronnym stają dziś na przeszkodzie trudności hipoteczne. Nie sposób odprzedawać kawałkami dóbr obdłużonych, nie uzyskawszy zezwolenia wierzycieli, a znowu trudno się dziwić, że wierzyciele z wielką nieufnością patrzą na usiłowanie zmniejszenia terytoryów, będących zabezpieczeniem ich prawa. Wobec takiego stanu rzeczy łatwo zrozumieć, z jakiem upragnieniem witane są pogłoski o „banku likwi-

dacyjnym“ dla Królestwa, mającym ułatwić kawałkowanie ziemi. Jedna z gazet, jeżeli się nie mylę, *Gazeta warszawska*, przed niedawnym czasem zaznaczyła pogłoskę, że na założenie takiego banku będzie użyta część funduszu „użyteczności publicznej,“ zaoszczędzonego przez Towarzystwo kredytowe ziemskie. Później pogłosce tej zaprzeczono, niemniej bank likwidacyjny wisi w powietrzu i nadmienić wypada, że uśmiecha się on ludziom ze wszystkich obozów: zarówno z odcienia *Niwy* jak *Przegl. tygodniowego*. W sposób charakterystyczny cieszy się w *Niwie* p. Dmóchowski, że „częste zatrudnienia (tak!) prywatnych wierzycieli, wobec wejścia w interes poważnej instytucyi, łatwo dadzą się usunąć, gdy tymczasem nieraz tylko podrażniony przez nieopłacanie procentów stosunek osobisty między wierzycielem a dłużnikiem stawi zaporę dojściu tranzakcyi do skutku.“ Mnożą się też i poważniejsze oznaki, przekonywające, że przesilenie rolne zaostrza się z każdym dniem bardziej dla jednostek, nieposiadających dość siły moralnej i materyalnej. Sprzedaże z licytacyi są na porządku dziennym. *Gazeta radomska* donosi o Piotrkowicach, które nabył p. Izrael Grünberg, płacąc 7,034 rs. za 404 morgi, o Przybyszowach, obejmujących 1,354 morgi, a nabytych przez p. Mojżesza Prusaka za rs. 7,120, o Słupi z 424 morgami, kupionej przez p. Jana Grabowskiego za 1,909 rs. *Tydzień piotrkowski* pisze o 94 włókach, składających dobra Dobryszyce i Borowiecko, przy których utrzymał się na licytacyi p. Szaja Landau za 40,000 rs. Wszystkie wymienione majątki sprzedane zostały przez Towarzystwo kredytowe ziemskie dla zaspokojenia rat zaległych. O sprzedażach w gub. siedleckiej donosi korespondent *Wieku*. W *Gazecie radomskiej* ktoś usiłuje nakłonić mieszczan, kapitalistów, rzemieślników do nabywania ziemi, przekonywając, że ziemia i dziś zapewnia dochód odpowiedni. Trudno rachować na skuteczność podobnych namów przy ogólnem biadaniu i wywłaszczaniu. Jedynymi nabywcami właściwymi są rolnicy z powołania, takich zaś przedewszystkiem stan włościański może dostarczyć. Konieczność rychłego ustąpienia pewnej liczby dzisiejszych właścicieli ziemskich w Królestwie i powierzenia ich warsztatów innym rękom jest faktem ekonomicznym, któremu ogół powinien w oczy zajrzeć, którym zająć się winni ci przedewszystkiem, co stanowią czoło klasy rolniczej. Ktoś w *Kraju* niedawno rozbierał pytanie, dotyczące racyi bytu większej własności ziemskiej i doszedł do wniosku — bardzo słusznego — że klasa ta oddaje ważne usługi społeczeństwu, że tedy istnieć powinna, że istnieć może — byle się przystosowała do warunków, zmienionych w porównaniu z dawnymi. Całkowita zgoda. Jest wszakże pewien procent nieumiejących czy niemogących przystosować się do tych nowych warunków. Ci są skazani. Na co? Na nędzę, jeśli konieczność nie pozwoli im unieść resztek mienia ze straconej placówki. Lecz jakkolwiek zapatrywalibyśmy się na losy tych rozbitków, jakiekolwiek byłyby dla nich nasze sympatye lub antypatye, nie może być dla nas obojętnem pytanie, kto po nich weźmie w dziedzictwie ziemię. Otóż rad jestem, że mogę tu wskazać grunt wspólny, na którym schodzą się wszystkie, bez wyjątku stronnictwa i cała prasa nasza. Tym gruntem wspólnym jest pragnienie, aby nowonabywcą był włościanin. Jeżeli zapowiadany bank likwidacyjny czy włościański przyjdzie do skutku rychło, jeżeli skala jego działań będzie odpowiednia, to byt kraju szybkiej ulegnie poprawie.

Na dzisiejsze warunki bytu większej własności jaskrawe a smutne rzuca światło sprawa sprzedaży 41 włók, stanowiących dobra Szydłów pod Łodzią. Na podstawie listu swego korespondenta *Kraj* donosi, że należały one do „szanownego obywatela Mielęckiego,“ że warte były conajmniej 120,000 rs., że zostały wystawione na sprzedaż przez p. Herbsta, skoligaconego z Szajblerami, za 3,500 rs., obciążające dobra te na rzecz Szajblerów. „Taki postępek poruszył całe obywatelstwo gubernii piotrkowskiej; ponieważ zaś od firmy Szajblerów można wymagać większego poczucia obowiązków społecznych niż od pierwszego lepszego spekulanta i z uwagi, że przy kupnie Szydłowa p. Herbst umawiał się z pierwszym wierzycielem o zredukowanie jego należności do 50%, a zawarłszy z nim ugodę, nabył następnie majątek za 15,001 rs., czyli po 366 rs. za włókę, przyczem *gotówką zapłacił 1 rs.*, wreszcie ponieważ ogólnie znany był w okolicy stosunek między właścicielem p. M. a nieboszczykiem Szajblerem, przeto ziemianie piotrkowscy, *w przeświadczeniu o słuszności podjętej sprawy*, wydelegowali z pośród siebie do p. Herbsta, generalnego pełnomocnika firmy, pp. Romockiego, Skórzewskiego, Rodryga hr. Potockiego, Edmunda Dobrzańskiego i Wężyka, ażeby ci, w imieniu obywatelstwa gubernii, wyrazili mu ubolewanie nad dokonanym faktem i życzenie naprawy tegoż.“ Już z tego przedstawienia rzeczy, oczywiście przychylnego dla p. M., wynika, że ten obywatel, będąc szanowanym i posiadając dobra 120,000 rs. wartujące, nie mógł zapobiedz licytacyi, przedsięwziętej z powodu 3,500 rs. należności i wymagającej pospolicie dosyć czasu i że ogół obywateli piotrkowskich jest przekonany o niesłuszności wystawienia na sprzedaż majątku zadłużonego, jeśli wierzycielem nie jest „pierwszy lepszy spekulant.“ Ale dopiero list objaśniający, ogłoszony przez p. Magnuskiego, adwokata p. Szajblerowej, nadaje temu zajściu wypukłość. P. Magnuski oświadcza, że wierzytelność została przez ś. p. Szajblera wykazaną w aktywach masy, że wierzyciele obecni (towarzystwo akcyjne), nie otrzymawszy procentów za lat pięć, uzyskali jeszcze w r. 1883 wyroki, mocą których Szydłów zajęli i wystawili na sprzedaż; odtąd przez trzy lata nietylko należności nie zaspokojono, ale z jednej strony czyniono wszelkie możliwe spory egzekucyjne, z powodu których sprzedaż dopiero w dniu 14 października r. b. mogła być dokonana, z drugiej zaś strony Szydłów przez te trzy lata uległ zmianom „graniczącym niemal z umyślnem zniszczeniem.“ P. Herbst oznajmił delegatom, że nie chodzi mu wcale o zatrzymanie Szydłowca, lecz o odzyskanie kapitału wyłożonego i że za jego zwrotem z kosztami p. Szajblerowa chętnie z majątku ustąpi. Jakkolwiek tedy za majątek na licytacyi zapłacono blisko 42,000 rs. (nie zaś 15,101), to jednak skoro on wart jest 120,000 rs., zatem delegacya ma możność na dogodnych warunkach, bo za $1/3$ wartości odkupić te dobra. Od czasu zetknięcia się delegatów z p. Herbstem upłynęło już parę tygodni, ale na wskazanej przez p. H. drodze nie nastąpiło porozumienie.

Gdyby cała powyższa sprawa dotyczyła wyłącznie pp. Mielęckiego, Herbsta i pani Szajblerowej, nie podnosilibyśmy jej, jako prywatnej. Ogólniejszego wszakże znaczenia nabiera skutkiem zainteresowania się nią całego piotrkowskiego ziemiaństwa, skutkiem sposobu, w jaki ujawniło się to zainteresowanie i skutkiem odbicia się niezadowoleń aż w łamach prasy.

Nierzetelność należy istotnie do ciężkich plag naszych. Nierzetelność utrudnia kupcom naszym kredyt zagraniczny, choć zagranica najusilniej pragnęłaby ten kredyt otworzyć zarówno na pieniądze, jak na towar. Nierzetelność zadała już niejedną klęskę naszej początkującej wytwórczości wywozowej. Nierzetelność spowodowała, że obecnie mają być przedsięwzięte środki przynaglające dla odzyskania od byłych studentów, dziś adwokatów, lekarzy itp. drobnych kwot, nie dochodzących przeciętnie z procentami 40 rs., pożyczonych im w uniwersytecie z funduszu powierzonego na ten cel przez p. Perlmutera profesorowi Kasznicy. Zalega ogółem 8,049 rs. 59 kop., rozpożyczonych za 218 kwitami.

Od spraw dotyczących zdrowia moralnego przejdę do sprawy, w której o zdrowie ciała chodzi, tj. do zamierzonej wystawy hygienicznej.

Że my się po barbarzyńsku na hygienę patrzymy — toć nie nowość. Że domy, podwórza, mieszkania, warsztaty, fabryki, szkoły itd. budują się bez uwzględnienia warunków zdrowotności, że jedząc, pijąc, śpiąc, pracując i bawiąc się, mamy na względzie wszelkie, najprzeróżniejsze okoliczności, zwyjątkiem zdrowia — to także dość powszechnie wiadomo. Jaką drogą moglibyśmy się dowiedzieć coś o hygienie? Juściż najłatwiej zapomocą metody poglądowej, rozpatrując jakieś okazy, rysunki, modele itp., bądź sprowadzone z zagranicy, bądź w kraju wykonane. Tak rozumiem cel i pożytek zamierzonej wystawy hygienicznej. Gdyby nawet wystawa rzeczona tyle tylko zaciekawiła nas do hygieny, ile czerwony afisz zaciekawia do widzenia budy z panoramą, wystawionej na publicznym placu, to jeszcze oddałaby społeczeństwu przysługę. Wobec tego zastanawiającem jest, że lekarz, hygienista i redaktor pisma lekarskiego w jednej osobie występuje w własnem piśmie i w innych przeciwko tej wystawie, dowodząc jej nieużyteczności tem, że nasze społeczeństwo nic nie wie o hygienie i nic dla niej nie robi. Ależ właśnie to jest najlepsza racya do apostołowania hygieny!

Z pomiędzy miast w Królestwie pierwszeństwo w zaniedbaniu przepisów zdrowia należy się podobno Łodzi. Tam wodę z ziemi czerpią kolorową, bo ziemia jest przesycona odpadkami fabrycznymi, rozpuszczalnymi. Tam ospa szerzy się, sprzątając setki ludzi, a zmarłe dzieci wywożone są dorożkami. Często nawet trumienki ze zwłokami w dorożkach spoczywają na kolanach dzieci zdrowych. W całem mieście, pierwszem po Warszawie pod względem ludności, nie masz ani jednej przyzwoitej łazienki publicznej. Miejscowy dziennik opowiada o mieszkaniu dla stróża, złożonem ze stancyjki, mieszczącej około ośmiorga ludzi, zbudowanej na śmietniku, obok miejsca ustępowego. Dzięki tym wszystkim okolicznościom, w ciągu ostatnich pięciu tygodni urodziło się tam 645 osób, a zmarło 814!

Feljetonista *Dziennika łódzkiego* widzi w powiększeniu liczby ajentów policyjnych sposób na polepszenie tych zgrozą przejmujących warunków hygienicznych. Czy rozpowszechnienie pojęć o zachowaniu zdrowia nie mogłoby jakiejś roli odegrać? Czy na tanie odczyty choćby z demonstracyami nie potrafiliby zebrać się uczeni łódzcy?

K. Zbrucki.

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin tak mówi o obecnem położeniu w Bułgaryi:

„Komiczni szubrawcy, wisielcy bułgarscy doprowadzili, jak należało się spodziewać, do końca szulerską grę, a narodowe sobranie, uznane przez całą Europę za kompletne zero, jednogłośnie, na przedstawienie i wskutek mowy jednego z szubrawców regentów, wybrało księcia Waldemara na tron Bułgaryi, przygotowało deputacyę do niego, wysłało telegram, a wszystko zrobiło tak doskonale, że książę Waldemar, bezwłocznie po otrzymaniu telegramu z propozycyą, uprzejmie a uczciwie odmówił tak nieoczekiwanej i zaszczytnej propozycyi.

I cóż teraz będzie?“

Graždanin mniema, że mianowanie księcia Mingrelskiego usunie wszelkie trudności — i dodaje.

„Istotnie, czegóż lepszego pragnąć można dla porządku w Bułgaryi i dla naszych interesów?... Książe Mingrelski będzie księciem: przy nim prawdopodobnie będzie świta rosyjska, następnie zarząd wojskowy rosyjski, dalej w wojsku będą oficerowie rosyjscy, a na to żeby oficerowie ci mieli powagę i znaczenie, będzie oprócz tego do rozporządzenia księcia pewna liczba rosyjskich batalionów. sotni kozaków itd.

Ale cała rzecz zasadza się na tem: czy zostanie nareszcie zniweczona bezmyślna konstytucya, narzucona przez nas Bułgaryi? Jeżeli bowiem konstytucya ta w jakiejkolwiek formie będzie zachowaną, to niewarto nawet, aby książę Mingrelski trudził się i jechał czy z wojskiem czy bez wojska do Bułgaryi. Jeżeli Rosya pragnie rzeczywiście porządku i pomyślności w Bułgaryi, to samo się przez się rozumie, że najpierwszym warunkiem jast skasowanie na zawsze konstytucyi..."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Prezes Koła polskiego w Prusach dr H. Szuman, odprzedał kilkadziesiąt morgów lasu żydowi niemieckiemu; skutkiem tego dzienniki puściły pogłoskę, że Koło polskie zamierza mu objawić *votum* nieufności. Zagraniczna prasa polska przeczy tej wieści, w każdym razie sam fakt zrobił nieprzyjemne wrażenie.

Wydalono z Prus — jak donosi *Kur. warsz.* — dwuletniego chłopczyka, Czesława Jaworskiego, który stracił ojca przed, a matkę zaraz po urodzeniu się.

W szkołach finlandzkich i uniwersytecie dorpackim ma być wkrótce zaprowadzonym język rosyjski. Gazety rosyjskie dopominają się o to energicznie.

Wystawa krajowa rolniczo-przemysłowa i maszyn pomocniczych, oraz wystawa sztuki polskiej otwartą będzie we wrześniu 1887 r. w Krakowie. Kierownictwo powierzono komitetowi pod przewodnictwem d-ra F. Jakubowskiego. Stosowna odezwa została już wydana.

Bibliografia St. Błotnicki: *Z dziejów teatru lwowskiego* (1830—40). Lwów.

— B. Londyński: *Poezye*. Warszawa, 1887.

— A. Bosakiewicz: *Rys oświaty i funduszów edukacyjnych w Polsce*. Kraków.

Przekład. Nowela Orzeszkowej *Julianka*, przełożona została na język hiszpański.

Pism peryodycznych polskich wychodziło w r. 1884 230, w 1870—134, w 1862—109, w 1850—96, w 1843 105, w 1830—76, w 1820—45, w 1810—12, w 1800 10. Postęp więc, co do ilości, istnieje.

Konkurs. Redakcya *Tygodnika ilustrowanego* ogłasza konkurs rysunkowy. Z nadesłanych utworów, które powinny mieć 10×14 cali wielkości, wybrane zostaną 3 rodzajowe i 3 historyczne i poddane głosowaniu czytelników. Nagrody wynoszą po 100 rs., oprócz zwykłego honoraryum.

Wystawa odzieży i sprzętów w Muzeum rolnictwa i przemysłu otwarta zostanie w przyszłym tygodniu.

Nowe pismo wychodzić będzie podobno w Łodzi p. t. *Kuryer łódzki*.

Rewizya. Sporządzono spis tych właścicieli w guberniach zachodnich, którzy nabyli dobra na zasadach wyjątkowych, a to w celu dokonania rewizyi, o ile dobra te posiadają ludzie, mający do tego prawo.

Kolonia polska na wyspach Samoa liczy 40 członków.

Obcy poddani nie będą przyjmowani wcale do służby rządowej rosyjskiej.

Szkoła rzemiosł przy ulicy Złotej (dawniej Jasnej) ogłosiła świeżo sprawozdanie za rok 1885/6, z którego okazuje się, że liczyło ona 160 uczniów. W r. b. wstąpiło nowych 84. W ciągu lat 5 ukończyło szkołę 49 wychowańców.

Poczta. W 1874 r. poczta w państwie rosyjskiem przesłała 109 milionów sztuk korespondencyi wewnętrznej i 12 milionów międzynarodowej; w 1884 pierwszej 260, drugiej 31 milionów sztuk. W 1874 r. dochód pocztowy wynosił 10 milionów, w 1884 — 16 milionów rs.

Dziwny pomysł. *Echo łomżyńskie* ma być wskrzeszone, ale wychodzić będzie... w Warszawie.

Szkoła dla dziennikarzy. W kilku uniwersytetach amerykańskich utworzono specyalne katedry dla młodych ludzi, którzy zamierzają zostać dziennikarzami. U nas dla publicysty wystarcza zwykłe wykształcenie elementarne.

Przemysł. W okręgu fabrycznym wileńskim, obejmującym 6 gubernij północno-zachodnich i Kurlandyę liczono w r. 1885—2,744 fabryk i 31,000 robotników, w tej liczbie 2,130 małoletnich. Rewizya, dokonana przez inspektora w 346 fabrykach, zatrudniających 16,914 osób, wykazała, że przy siedmiu tylko fabrykach istnieją szkółki, a 9 jako tako odpowiada wymaganiom sanitarnym. Wogóle przepisy prawodawstwa fabrycznego nie są wcale stosowane.

Projekt. Do Rady państwa wniesiony zastał projekt p. ministra sprawiedliwości o ograniczenie jawności posiedzeń sądowych. Według projektu tego liczba wypadków, w których sprawa może być sądzona jedynie przy drzwiach zamkniętych, znacznie będzie powiększona.

Curiosum. Niemcy lubią bardzo tworzyć wyrazy złożone, często bardzo długie, zdaje się jednak, że podana przez *Kur. warsz.* nazwa urzędu przewyższa wszystkie inne dziwolągi: *Eisenbahnbaudotationshauptkassencentralbuchhaltungsregistraturfunktionär*. Posladacz tego tytułu jest urzędnikiem kolei szczecińskiej.

Prywatna poczta istnieje w Niemczech obok rządowej i daje znaczne dochody przedsiębiorcom, pomimo że pobiera opłaty znacznie niższe.

Nowa taksa. Od Nowego Roku podwyższoną będzie opłata za przesyłkę pocztową pism peryodycznych. Dzienniki zamiast 16% ceny prenumeracyjnej płacić będą 18%, tygodniki zamiast 12%— 14%.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Pus. z ul. Nowogrodz. Jak tylko spór jest przedmiotem sprawy sądowej, pismo nie może ogłaszać skargi jednostronnej, pomijając to, że pańska nie policzyła się z warunkami publicznego słowa.

Dr. Zakrz. w Helsingforsie. Wysłaliśmy ponownie.

P. Pniew. w Domaniew. Listu przesłać nie możemy, gdyż w tej chwili nie znamy pobytu adresata, podróżującego w Azyi.

P. Pawłowskiej w Nastaszkach. Żądana książka Drapera wyczerpana od dawna.

Życzliw. człow. Są to stalaktyty podłości. Co do łaskawej oferty skorzystać nie możemy.

OFIARY.

Do rozporządzenia redakcyi. Rudnicki z Wyszni-Wołoczka rs. 13 kop. 30; od U. D. N. rs. 20.

Na wpis dla uczniów. Boguś i Nunia Krassowscy z Podola rs. 30.

Student Instytutu weterynaryjnego, niemający za co wrócić do szkoły w Cesarstwie, prosi za naszem pośrednictwem o pomoc pieniężną ludzi zamożnych a odczuwających niedostatek kształcącej się młodzieży.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Ноября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.